№ 42 Warszawa, dnia 3 (15) Października roku 1881.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Krolestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

JEDNA Z WIELU.

FANTAZYA.

Napisał

Józef Korwin (Kazimierz Paledzki.)

(Dokończenie.)

IX.

Ach! — pamiętam — raz o zmroku,
Gdym z podwoi wyszła szklanych, —
Łzy palące — mając w oku —
Do ogrodów snem owianych,
By przeszłości rozwiać cienie,
Rozwiać cienie dni minionych, —
Patrząc w gwiazd odźwierciadlenie,
Z bzów namiotu uperlonych, —
Wiatr się zerwał, twarz księżyca
Bladła... nikła... aż się skryła,
Żadna gwiazda świątłolica
Mroku nie opromieniła.
Wiatr rozszemrał drzew liściami,
Wichrem zawył, zagrzmiał, świsnął,
Eter jęknął półtonami,
Błyskawicą w oczy błysnął —
I zanucił piorunami...
Pierś krynicy lazurowej
Źródła czarnych chmur owiały, —
I z tych źródeł po nad głowy
Cienkie strugi wód spływały.
Nieruchoma, — pod osłoną
Drzew, wiejących dżdżu kroplami, —
Stałam z piersią roztętnioną,
To błyskawic jasna skrami, —
To się w mroku nurzająca...
A przede mną groźna, wielka,
Rozdźwiękami śmierci grzmiąca —
Wszechprzyroda — rodzicielka —
Akkordami serenady
Ach! — potężnej uderzała,
O spienionych wód kaskady,
O drzew gnące się arkady...
Wobec pieśni tej jam stała,
Niby jakaś odrodzona, —
Nie, swoją wielkością dumna, —
Żądzą woli rozpalona, —
Jak przyrody tej kolumna.
Ach! bo pieśń ta w każdym tonie
Grzmiać się zdała: jam swoboda
Nieprzeparta, niezwalczona, —
Gdzie ten, co mi skuje dłonie,
Co mi pęta swoje poda?
I jak mściciel mój rozbiła
Różnofarbnych szkieł osłonę, —
Wszystkie światła pogasiła —
Wnętrz haremu w mrok spowiła
I jak matka ma wołała
Do mnie słowy piorunnemi:
„Za mną, za mną, moja biała,
Coś już tyle przecierpiała —
Chodź do swej ojczystej ziemi!
Ja cię w nocy mrok spowiję, —
Dam za gwiazdy — błyskawice, —
Piorunami ci rozbiję
Góry, lasy i krynice.
Dźwięczną pieśnią wichru zgonię
Niewesołe dumy z czoła —
A gdy sen ci na twarz wionie
Skrzydlatego dam anioła.
On skrysztali prąd gromowy
I zapali świt różowy, —
Ptaków zgoni do piosenki,
I rozwoni kwiatów pęki,
On ci ciepłem pierś owije, —
Ukołysze skier migotem,
I błękitny strop rozbije
Gwiazdolicym ci namiotem."
I jam biegła za tą wielką
Swą piastunką — rodzicielką, —
Przeszłam Stambuł — i szłam dalej —
Burzy wichrem kołysana, —
I gdy na różowej fali
Wypłynęła dnia świetlana
Zorza, — gdy ucichły wiatry,
Znów szląc echa pieśni ptasiej, —
Już się zdala mgliły szatry,
A w tych szatrach byli nasi...
Szłam... szłam ciągle... dzionków wiele,
Wiele nocy długich, czarnych,
Lecz w noc wiodła mię na czele
Sióstr swych — jedna z gwiazd polarnych,
Aż w słoneczny pewien ranek, —
Gór ojczystych błysły szczyty, —
I zielony lasów wianek,
Znany potok w mgłę rozbity, —
Znane hale i granity!...

X.

I byłam ja znowu śród gór!...
Witałam znajome mi skały —
I gemzy wybiegłe z za chmur,
I gemzy mnie wzajem witały...

I zefir falował mi łono,
Rozmarzał oddźwięków mnie wtór —
I biegłam doliną zieloną,
Na śniegów wyżynę omgloną, —
I byłam, ah! znowu śród gór! —

Tam, kędy topoli gaj był —
Dolatał ptaszęcy mię chór, —
I zachwyt na licach mych lśnił,
Bo byłam, ah! znowu śród gór!

XI.

I lekko mi było, i smutno mi było —
Nie sen-żeż to długi ten pożar, ta burza? —
I biegłam ku chatce, i łono tętniło,
I świeżo urwana krwawiła je róża...

I biło, ach! — biło, i lica paliło, —
Ot! — kędy się hala słońcem opurpurza, —
Czy chatkaż-to nasza w zieleni się nurza,
Czy zieleń się wije nad chatki mogiłą?...

Przez gaj topolowy mknę niby skrzydlata —
Z rozpękłym z mgły wspomnień przeszłości [obrazem —
I półcień, i półblask nurzają się razem
Nad kwietnym, nad skalnym ojczystym — ach! [głazem —
I półszmer, i półjęk z nad głazu dolata, —
Łzy w oczach: w półjęku przeczułam ja brata.

XII.

Blizko... blizko... już drożyna
Tylko stroma mnie przedziela, —
Biegnę, gnę się, — jak krzewina —
Między osty, między ziela
I kolących krzaki róż,
Biegnę, gnę się, — ścieżki bokiem, —
Śmielej,—prędzej,—chyłkiem—skokiem —
I — na skale-m już!

XIII.

Tam, kędy łan zielony
Zlewał się z głazem skał,
W puch kwietny omuszkniony
Mój domek kędy stał, —
Szkielety drzew miejscami, —
Popiołów grudki wkrąg —
I między popiołami
Rozkwitły lilii pąk...
I wystający głazem
Szczerniały cegieł słup —
I wszystko, wszystko razem —
To chatki mojej grób! —

A tam... ach! — ach — do głowy
Falami tryska krew,
I na twarz purpurowy
Z boleścią wybiegł gniew, —
Ojcowie, siostry moje —
Czem dziś jesteście wy?...
Nie dla was woni zdroje,
Nie dla was letnie sny!...
Ach! — siostry — w dni rozpęku
Czem staliście się już!
I naco w śmierci ręku
Te młode pączki róż?!...

Wtem zdala i z uboczy
Doleciał słaby jęk, —
I obróciłam oczy, —
Nadziei mglił je lęk...
W przeszłości grób wpatrzony —
Młodzieńczych jeszcze lat —
Ktoś siedział pochylony —
Ach — był to własny brat! —

Jak pisklę do pisklęcia,
Wybiegłam doń przez łan —
I padłam mu w objęcia,
Zgibając wiotki stan, —
Lecz smutno obu było, —
Nie wybiegł potok słów, —
Aż słońce rozemgliło
Zbolałe serca znów!...

Gra światła i promieni,
Potoków dziki szum,
Woń kwiatów i zieleni —
Rój rozwiał smutnych dum.
Łza żadna już nie trysła,
Znów pięknym zdał się świat, —
I znów nadzieja błysła —
Ten półbóg młodych lat! —

XIV.

Kalina
Kwitnąca
Nad nami
Szumiała, —
Ptaszyna
Marząca
Trelami
Śpiewała —
I cała
W skrach słońca
Szumiała
W półtony
Kalina kwitnąca,
Jak pałac zielony...

Jak pałac zielony,
Jak taras dziewiczy —
Szumiała w półtony,
W takt pieśni słowiczej.
I długo, — ach — długo,
Me usta z korali
Pod drzewem — nad strugą
Różnobarwnej fali —
Szeptały swe dzieje —
Pragnienia swobody, —
I swoje nadzieje,
I swoje zawody,
I wszystko, co w piersi mej tleje,
Namiętnej, a zmiennej, a młodej! —

„Ach! — biedna ty moja! już dosyć,
I tęsknić, i przeszłość wspominać —
I wiecznie za sobą ją nosić,
I cienie umarłych zaklinać! —
Chodź za mną! ja życie uplotę, —
Tak czyste, jak lilia biała,
Tam zwiejesz na zawsze tęsknotę, —
Rozdumasz w przyszłości się cała —
Bo życiem tem jedna jest wola,
A wola, — aż — aż — do upicia,
Potężna bez granic, sokola, —
To dźwignia, to czar tego życia! —
Rodzina i przeszłość moc w obec niej traci, —
Chodź za mną; tę wolę znajdziem śród spółbraci.

Odtąd śród drużyny
Kołysałam siebie,
Niby splot krzewiny
Na wrogów pogrzebie, —
Znów mi świat był rajem,
Chatką ziemia cała,
Znowum nad Dunajem
Piosenki śpiewała...
Zrzadka dumka mgława
Jękła o przeszłości,
Częściej walka krwawa, —
O losach ludzkości. —

Bracia moi! — pieśń skończona —
I jak każda z dum uwiana, —
Cierpień łzą ostrumieniona
Promieniami złudzeń zlana.

I wykwitła w kwiatek blady,
W kwiatek blady, a bez ceny, —
Taka dzika, jak Dryady, —
Śpiewna taka, jak syreny. —

I jak zmienna uczuć nuta, —
I jak wszystko dookoła, —
I jak duch z którego snuta —
Niewesoła, to wesoła.

1880 roku, Kwiecień. — Korytno.

JAMES GARFIELD.

Prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. *)

PRZEZ

SEWERYNĘ DUCHIŃSKĄ.

Smierć prezydenta Stanów Zjednoczonych, wstrząsła do gruntu Europą. W ciągu ośmdziesięciodniowych męczarni znakomitego męża, przeplatanych kolejno nadzieją i trwogą, ci nawet, których mało obchodzą sprawy polityczne, przywiązali się do tej pięknej postaci, przyświecającej tak czystym blaskiem na ciemnem tle współczesnych dziejów Ameryki. W ostatnim dziesiątku lat, drugi raz już ręka mordercy przecina pasmo dni prawdziwie chlubnych i pożytecznych. Po Linkolnie padł ofiarą Garfield, mniej szczęśliwy lecz niemniej zasłużony od poprzednika: podczas gdy Linkoln świetnie dokonał dzieła wyswobodzenia Murzynów, Garfield rozpoczął zaledwie wielkie dzieło zreformowania społecznego porządku, tak bardzo dziś zachwianego skutkiem szerzącej się niemoralności publicznej.

Osobistość Garfielda należy niewątpliwie do najsympatyczniejszych w naszej epoce. Był to typ prawdziwie amerykański, w dodatniem znaczeniu tego słowa. Wysokie stanowisko, jakie zajął, zawdzięczył jedynie sam sobie, żelaznej pracy i niezmordowanej wytrwałości. Postawa jego pełna siły, dziwnie harmonizowała z wielką potęgą ducha. Rosły jak dąb, barki miał krzepkie, naprzód pochylone, snać przywykłe od młodu do pługa i motyki. Włos rzadki odkrywał wysokie czoło, ale bujna broda czarna, potrząsnięta szronem pokrywała pierś wypukłą i szeroką. Oczy jego ciemne, głęboko osadzone, miały wyraz ascetyczny a zarazem pełen słodyczy i dobroci. Głos donośny, dźwięczny odpowiadał postawie. Zwię-

---

(*) W zeszłym numerze Tygodnika podaliśmy niektóre szczegóły o zmarłym prezydencie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej: w dzisiejszym dopełniamy je bliższem rozpatrzeniem się w tej pięknej postaci, która jest nietylko chlubą wielkiej rzeczypospolitej ale i zaszczytem całej ludzkości. Oby takich Garfieldów każda społeczność jak najwięcej posiadała. Bujna to rola na której tak piękne kwiaty wyrastają.

Redakcya.

zły w słowach, wyrażał się zwykle w malowniczy i obrazowy sposób.

James Garfield urodził się w listopadzie r. 1831, w Stanie Ohio, o kilka mil od kwitnącego dziś miasta Cleveland. Na rok przedtem ojciec jego Abracham, zakupił część lasu nietkniętego jeszcze ludzką ręką, wybudował z okrąglaków skromny domek i zajął się pilnie karczunkiem. Po trzech latach najmozolniejszej pracy, mógł już posiać zboże na wytrzebionem polu. Nadeszło lato; skrzętny oracz karmił z radością oczy widokiem dojrzewających kłosów. Nagle wszczął się pożar wśród lasu, wicher napędzał na pola całe stosy wiórów i suchych liści. Przerażony *farmer*, jął z wysileniem walczyć z niechybną klęską. Wprawdzie uchronił pole od pożaru, ale wyczerpany z sił wpadł w gwałtowną chorobę. Czując gasnące życie, zwlekł się po raz ostatni z łoża, stanął w oknie, pożegnał swoje woły, wierne wspólniki trzyletnich mozołów, poczem oddał w opiekę żonie czworo drobnych dziatek, i skonał w pełnej sile męzkiego wieku.

Osierocona wdowa nie założyła rąk, ale ukrzepiona głębokiem uczuciem religijnem, święcie pełniła ciążące na niej obowiązki. Dzieci rosły pod macierzeńskiem jej okiem: starsi synowie pracowali z nią pospołu; zimą tylko, gdy pole spoczywało zasłane śniegiem, chodzili na naukę do najbliższej szkółki.

James, najmłodszy z rodziny okazywał od dziecka umysł żywy i bujną wyobraźnię. Zajmowały go szczególniej opowieści majtków i żołnierzy. Znał doskonale rachunki, umiał na pamięć gramatykę angielską, czem budził zazdrość pomiędzy kolegami. Zdawało sie nie raz, że uboga jego odzież, skrzętnie połatana przez matkę, i powykrzywiane buciki były przedmiotem szyderstwa u możniejszych współuczniów, ale biada tym co śmieli szydzić z niego. Krzepki chłopiec, umiał sam sobie wymierzyć sprawiedliwość i nakazać drugim poszanowanie. Przezwano go *fighlingboy* (zawadyaką), i nikt odtąd nie wchodził mu już w drogę.

W szesnastym roku życia, zabrał się pilnie do roboty, mając siły po temu. Zobowiązał się z młodym krewnym wytrzebić sto prętów lasu, za sumkę dwudziestu pięciu dolarów. Spełniwszy ciężką pracę, przystał za poganiacza koni, ciągnących szalupy na kanale, między Ohio a Pensylwanią.

Ale Opatrzność do innych przeznaczyła go celów. Po trzymiesięcznej służbie przywieziono go do matki, złożonego uporczywą febrą. Choroba trwała pięć miesięcy. Dobra matka otoczyła go najtroskliwszem staraniem, i nowy kierunek nadała jego myślom. Ulegając jej woli, młodzian za powrotem do zdrowia pośpieszył do miasta Giauge, zapisał się między uczniów tamtejszej szkoły. Z niesłychanym zapałem rzucił się do nauk matematycznych, do łacińskiego i greckiego języka. Postępy jego tak były wielkie, że w kilka tygodni po rozpoczęciu szkolnych nauk, należał już do celujących uczniów: wkrótce prześcignął wszystkich. Miłość nauki, w miarę czynionych postępów, coraz bardziej pochłaniała młodziana; w końcu odwiodła go całkiem od szukania awanturniczych przygód. Na ten zwrot umysłowy wpłynęło niemniej tkliwe uczucie do młodej panienki Lukrecyi Rudolph, odpłacone najszczerszą wzajemnością. Ubogi szesnastoletni chłopiec, nieprędko mógł pomyśleć o związkach małżeńskich, zwłaszcza z córką dość zamożnej rodziny, ale czuł że przyszłość otwarta przed nim; dążył też wytrwale do wyrobienia sobie zaszczytnego w świecie stanowiska.

Jakoż w lat kilka potem, ukończywszy chlubnie nauki, otrzymał katedrę profesora w *William College*, jednym z najsłynniejszych fakultetów naukowych w Ameryce północnej. Kursa jego ściągały mnóstwo uczniów, pełną żaru wymową, porywał młode serca. Rozprawy te literackie, głoszone drukiem, zwróciły powszechną uwagę. Świetny profesor, poślubił wówczas ukochaną od lat dzieSięciu, i równie kochającą go Lukrecyę.

Wybuchła zacięta wojna północnych stanów z południowemi. Garfield, gorący republikanin i zwolennik postępowych idei, z zapałem pochwycił za oręż i przyjął wyższy stopień w pułku organizującym się w Ohio. Oddział jego wzorowym ładem zwrócił uwagę wytrawnych jenerałów. Na równinie Midole Creek w Kentucky zaimprowizowany wódz znalazł się po raz pierwszy wobec nieprzyjaciela. Tryumf odniesiony skutkiem zręcznych obrotów strategicznych i niepospolitej przytomności umysłu, dał w nim poznać wysokie zdolności wojskowe i odrazu okrył go chwałą. Mianowano go pułkownikiem, zwierzono mu brygadę: nowe zwycięztwa zapewniły mu tym większy rozgłos. Po bitwie pod Chicamagna, otrzymał stopień jenerała majora.

Na żądanie Linkolna, Garfield porzucił służbę wojskową i zasiadł w radzie kongresu jako reprezentant Stanu Ohio. Powierzono mu naprzód dyrekcyą finansów, tak bardzo zachwianych w ciągu kilkoletniej wojny domowej. Z przyjętych obowiązków, wywiązał się najzaszczytniej i zjednał sobie powszechne zaufanie. Mimo oporu wichrzycieli, wybrany większością głosów na prezydenta Stanów Zjednoczonych, objął zarząd państwa w marcu roku bieżącego. W trzy miesiące potem kula nikczemnika, przecięła dni tak pełne zasług i pogrążyła kraj w odmęcie anarchii.

Równie jak w zawodzie publicznym, Garfield był wzorem obywatela, tak znów w życiu domowem wzorowym był synem, małżonkiem i ojcem rodziny. Dom jego prostotą obyczajów i gościnnością okazywał prawdziwie patryarchalny charakter. Podeszła matka, żyjąca dotąd, zajmowała pierwsze miejsce przy domowem ognisku; wdzięczny syn otaczał ją najwyższą miłością i poszanowaniem. Pożycie z zacną małżonką, było nieprzerwanem pasmem pomyślności. „Raz jedyny,—mówi biograf — chmura przemknęła po ich czole, kiedy dwaj synowie najstarsi z pięciorga dziatek, opuścić musieli dom rodzicielski, udając się na wyższe nauki.”

Wielkie dostojeństwo, na jakie Garfield podniesiony został, nie zmieniło w rodzinie trybu życia, nie wzbiło jej w czczą pychę. Pomimo tylu piastowanych kolejno dostojeństw, cały majątek prezydenta składał się z dwóch domów, jednego w Waschingtonie, drugiego w Longbricht nad morzem, gdzie tylko co skończył się smutny dramat. Na miesiąc przed katastrofą, w maju, jakby wiedziony smutnem przeczuciem, zaasekurował życie swoje w Kompanii Nowojorskiej za sumę 25,000 dolarów, która ma być żonie wypłaconą. Drobna ta kwotka, w kraju gdzie pieniądz tak niską ma wartość, nowym jest dowodem skromności znakomitego męża. (*)

(*) Zaraz po rozejściu się wiadomości o niebezpieczeństwie bez ratunku zacnego Garfielda, zawezwano cały naród do składki na rzecz pozostałej po nim rodziny, o niezamożności której wszyscy dobrze wiedzieli. Dotąd składki te wyniosły 300,000 dolarów i zamknięte nie zostały, można się zatem spodziewać że jeszcze znacznie powiększą się nowemi darami.

Takiego-to naczelnika opłakują dziś Stany Zjednoczone, a opłakują tak gorąco, że zdaniem publicystów, łzy wylane nad jego grobem, zleją się w jeden strumień, w którym utoną długoletnie zatargi północnych i południowych stanów. W stuletniej dobie niepodległego bytu, wśród szeregu dwudziestu czterech prezydentów, imię Garfielda chlubnie zaświeci w dziejach północnej Ameryki, obok imion Washingtona, Jeffersona i Abrahama Linkoln.

Dzieło zreformowania administracyi na pożytek moralności publicznej, nie będzie przerwane skonem znakomitego męża. Następcy jego muszą iść wytkniętą przezeń drogą, popchnięci prądem opinii powszechnej. Sama śmierć opłakiwanego prezydenta stanie się ku temu potężnym bodźcem, pokazując przepaść, do jakiej anarchia wtrącić może kwitnące zkądinąd społeczeństwo.

Ktoby z czytelników naszych pragnął bliżej poznać szczegóły tego pięknego życia, znajdzie je w dziele kapitana Mason, który odbył pamiętną kampanią, pod dowództwem jenerała Garfield, w pułku przez niego uorganizowanym.

Zwłoki jenerała Garfielda przybrane zostały w strój, jaki miał na sobie w chwili instalacyi na prezydenta. Lewa jego ręka spoczywa na piersi, jak to zwykle bywało za życia. Trumna jest obita czarno i ma srebrne antaby. Na trumnie znajduje się srebrna płyta z napisem: „James Abraham Garfield, urodzony 19-go listopada r. 1831, zmarł jako prezydent Stanów-Zjednoczonych 19-go września r. 1881”. Ci co pielęgnowali Garfielda na łożu boleści mówią, że oddawna był pewnym, iż żyć nie może. Na kilka dni przed wyjazdem chorego do Waszyngtonu, przeprowadzono go na łożu do innego pokoju. Ktoś z obecnych rzekł, stosując to do projektowanej podróży do Longbranch: „Tak dobrze zniosłeś tę krótką podróż, że odważyć się możesz spróbować dłuższej”. „Tak jest, odparł Garfield, może się ona łatwo przemienić w długą, długą podróż na tamten świat”. W ostatnich dniach gdy go chwycił kurcz sercowy, zapytała go żona: „Czy cię bardzo boli?” „O moja najdroższa”, odpowiedział, boli mnie to tylko, że żyję”. Ku południowi tego samego dnia rzekł: „Pojmuję dokładnie mój stan”. Wpatrzywszy się potem z natężeniem w twarz przyjaciela, dodał: „Czy sądzisz, że imię moje zajmie miejsce w historyi ludzkości?” — „Tak jest i wielkie, odpowiedział przyjaciel, ale większe jeszcze w sercach ludzi”. Gdy pani Garfield doniesiono, że mąż jej kona, zawołała: „Ah, czemuż przyszłam na świat, aby znieść tak straszną boleść!” Sędziwa matka prezydenta przyjęła tę wiadomość również z głębokim smutkiem, ale zarazem i z rezygnacyą religijną.

Do gwiazdki.

Gwiazdeczko moja, gwiazdeczko mała,
Gdy raz zaświecisz bądź-że już stała,
Nie chmurnij, — nie kryj swego oblicza,
Lecz świeć mi ciągle jak ogień Znicza.

Jest to wymowny dowód powszechnego żalu amerykańskiej społeczności, która lubi wprawdzie szastać groszem na wszystko co zgodne z rozumem, ale brzydzi się zbytkiem i próżnym przepychem.

Redakcya.

Nie tul się w chmury, proszę nie gaśnij,
Bo jak ty świecisz, to i mnie jaśniej,
Lecz, kiedy wejdziesz mgławo na burze,
To i mnie smutno — i ja się chmurzę.

Kiedy za tobą po niebie śledzę,
Jesteś — to radość — nie ma cię — biedzę
Głowę i serce i trapię siebie,
Świeć więc mi jasno, gwiazdko na niebie.

Lecz kiedy niebo na mnie łaskawsze,
Gwiazdeczkę moją oh! poznam zawsze,
Bo ona jedna świecić tak umie,
I wśród gwiazd tłumu, nie zginie w tłumie.

M. K.

PRUSACY W FRANKFURCIE.

Przez

ALEKSANDRA DUMASA.

Przekład

J. B.

TOM II.

(Dalszy ciąg.)

Jenerał Sturm miał lat 52; był wzrostu więcej niż średniego, silnie zbudowany, głowę miał niewielką, czoło wysokie i odkryte, twarz okrągłą, jakby pocentkowaną w czerwone plamki; gdy się rozgniewał — co się często zdarzało — cała twarz stawała się krwisto-czerwoną. Włosy, dawniej rude, kręte i ostre, zaczynały siwieć, były krótko przystrzyżone. Oczy duże, połyskliwe, spojrzenie harde, surowe i bezlitośne. Białka zawsze prawie zachodziły krwią. Usta były szerokie, wargi wązkie i zaciśnięte. Zęby krótkie, szerokie, ostro zakończone, żółte; dziąsła mocno czerwone; brwi nizko opuszczające się na powieki, proste i gęste, często się marszczące. Nos duży i ostry, zgięty nakształt dzioba; podbródek wystający; uszy małe, bardzo odstające; twarz chuda; kości policzkowe wystające: szyja gruba, krótka, muskularna, sinoczerwonawa; ramiona szerokie i mięsiste. Był silnie zbudowany, miał duże ręce i nogi, kości grube, mówił głośno, głosem silnym, wyniosłym i rozkazującym; ruchy jego były prędkie i szorstkie; chodził wielkiemi krokami, gardził niebezpieczeństwem — ale wtedy tylko gdy mogło posłużyć do awansu. Lubił barwy jaskrawe, szczególniej czerwoną, odór prochu i grę w karty. Był gwałtowny, nadęty pychą, nie znosił zaprzeczenia, popędliwy, o byle co unoszący się gniewem. W takich chwilach plamki na twarzy przybierały barwę krwistą, białka krwią zachodziły, oczy ciskały płomienie; nie zważał wtedy na żadane formy ani przyzwoitość towarzyszką, miotał się, klął, bił lub znieważał. Jeźli ubliżył równemu sobie, nie odmawiał zadośćuczynienia. Znając na jakie niebezpieczeństwa narażał go jego charakter i usposobienie, wszystkie wolne od służby chwile poświęcał wprawianiu się w strzelanie z pistoletów w ogrodach położonych przy jego mieszkaniach, lub robieniu bronią z fechmistrzami pułkowymi.

Tym sposobem nabył niezwykłej wprawy, i pojedynki z nim bardzo były niebezpieczne; miał ich dziesięć czy dwanaście i w każdym zabił lub bardzo niebezpiecznie ranił przeciwnika. Rzeczywiście nazywał się *Ruhig*, co znaczy *spokojny*; przez antifrazę nazwano go Sturm czyli *Burza* i nazwisko to mu pozostało. Pierwszy jego występ wojenny miał miejsce w 1848 i 1849 r. w walce przeciw Badeńczykom, w której odznaczył się dzikiem okrucieństwem.

Gdyby dostrzegacz tak bystry jak Benedykt mógł był przypatrzyć się jego ręce, zobaczyłby, że pierwszy staw wielkiego palca był bardzo krótki i miał prawie kształt kuli, że palce były bardzo gładkie, kopystkowatego kształtu, skóra rąk szorstka, jakby zielonawa, paznokcie krótkie i twarde. Przechodząc od palców do dłoni, zobaczyłby że linia życia była szeroka i czerwona, przerwana na trzeciej części jakby kropką od ukucia, wzgórze Marsa płaskie i pokreślone a cała dłoń jak porysowana — a wszystko to oznacza: gniew, wzburzenie i popędliwość.

Gdy Fryderyk wszedł do niego, był zupełnie niemal spokojny, i co rzadko się zdarzało, prawie się uśmiechał.

— Ach! to pan, rzekł, gdzież byłeś? przed chwilą był tu jenerał von Roeder, posyłałem prosząc abyś przyszedł.

— Najmocniej przepraszam pana jenerała, byłem u matki żony mojej dowiedzieć się o zdrowiu przyjaciela mojego, bardzo niebezpiecznie rannego pod Aschaffenburgiem — o którym wspominałem panu jenerałowi.

— A! tak, ale powiedziano mi, że to Austryak; doprawdy zbytek dobroci żeby się tak zajmować tem plugastwem cesarskiem. Gdybym ich tysiące rannych widział na placu, pozwoliłbym im zdychać bez ratunku od pierwszego do ostatniego.

— Zdaje mi się, iż miałem zaszczyt powiedzieć panu jenerałowi, że jest to dawny mój przyjaciel.

— Dobrze, dobrze! pal go licho! nie o to teraz chodzi. Jestem z ciebie zadowolniony, baronie, rzekł Sturm takim głosem jak gdyby mówił: „mam wstręt do ciebie”, chcę więc zrobić ci przyjemność.

Fryderyk pokłonił się.

— Przed chwilą właśnie jenerał von Roeder zapytywał mnie z którego z oficerów najwięcej jestem zadowolniony, aby polecić mu zawiezienie j. k. mości Wilhelmowi I, którego niech Bóg ma w swej świętej opiece, chorągwi heskiej i austryackiej, które zdobyliśmy w bitwie pod Aschaffenburgiem. Pomyślałem o tobie, panie baronie, czy chcesz podjąć się tego posłannictwa?

— A! panie jenerale, nic w świecie nie mogłoby większym być dla mnie zaszczytem i większej sprawić mi przyjemności. Wiadomo waszej ekscelencyi, że sam król przeznaczył mnie do jego sztabu; udanie się w podobnej okoliczności, jest to dla mnie dowód wielkiej łaski, a śmiem spodziewać się, że i królowi sprawi to przyjemność.

— Pojmujesz pan, że trzeba wyjechać najpóźniej za godzinę, nie tłomaczyć opóźnienia młodą żonką czy tam dzieckiem lub babcią... W przeciągu godziny można wycałować wszystkie na świecie żony, babki, siostry i dzieci jeszcze w dodatku. Chorągwie leżą zapakowane w przedpokoju — za godzinę bądź pan w wagonie, jedź na Czechy, a jutro staniesz przed królem, który musi być bliżko Sadowy. Oto masz pan list ułatwiający mu przystęp do monarchy.

Fryderyk wziął list z sercem przepełnionem radością; nie potrzebował nawet prosić o urlop; jak gdyby odgadując gorące jego życzenie, jenerał dawał mu go sam a nadto wyświadczał łaskę o jakiej nawet marzyć nie śmiał.

I on pragnął wyjechać jak najśpieszniej; to też szybko przebiegł schody i wpadł prędko do pokoju w którym oczekiwał go Benedykt.

— Miałeś słuszność, przyjacielu, zawołał zarzucając mu ręce na szyję, to istne zrządzenie Opatrzności! Za godzinę jadę do Sadowy, i prawie nie śmiem powiedzieć ci po co.

— No, ośmiel się, mój drogi, bo inaczej nic nie będę wiedział.

— Mam zawieźć królowi sztandary zdobyte pod Aschaffenburgiem.

— A! mój drogi, cóż mnie to może obchodzić? wszak to nie moja parafia!... Jestem gdzie się biją bo biję się jako amator, dla niestracenia wprawy. Gdyby wszyscy Prusacy byli do ciebie podobni, byłbym walczył w ich szeregach, ale że daleko więcej podobali mi się Hanowerczycy i Austryacy niż Berlińczycy, którzy żywcem pożréć mnie chcieli, więc biłem się z nimi pomagając jak mogłem Austryakom. No, a teraz myślmy tylko o tem, aby jak najprędzej spełnić polecenie milutkiego jenerała *Burzy*, a zarazem uciec jak najśpieszniej od pewnej przepowiedni, której zawsze trochę się obawiam — choć zdaje się niepodobną do wiary. Idź-że więc pożegnać się z babcią, z żoną, z siostrzyczką Heleną, a niezapomnij i o kawalerze Ludwiku von Below, bardzo ważnej personie, choć liczy zaledwie sześć tygodni... Poczem przyjaciel Benedykt odprowadzi cię do kolei, wsadzi do wagonu, zamknie drzwiczki i nie odejdzie póki nie odjedziesz. Dalej! idź się żegnać.

Fryderyk nie dał sobie tego powtórzyć dwa razy. Zszedł na dół, pożegnał się z panią von Beling, której oznajmił powód wyjazdu nie ukrywając radości jaką mu sprawiał; następnie udał się do pokoju Heleny, w którym usłyszawszy głos jego Karol otworzył oczy i zwrócił je na niego — ale najdłużej i najczulej żegnał się z żoną i z dzieckiem.

Całował i pieścił leżącą w kolebce dziecinę; wtem wszedł ten sam żołnierz, który przychodził już raz do niego od jenerała, prosząc, aby gdy przyjdzie zabierać chorągwie, wstąpił jeszcze do gabinetu jenerała, który pragnie z nim pomówić.

Fryderyk uścisnął żonę i wyszedł; Benedykt czekał na niego na schodach.

— Czego chciał ten żołnierz? zapytał niespokojny.

Fryderyk powiedział mu o co chodzi; Benedykt spospępniał i zmarszczył czoło. Westchnął i rzekł po chwili namysłu:

— Wierzaj mi, Fryderyku, nie chodź do jenerała.

— Niepodobna, przyjacielu.

— Przecież nie jest to rozkaz tylko prośba.

— Prośba jenerała Sturma jest dla mnie rozkazem; muszę iść; uściskajmy się i do widzenia.

Fryderyk poszedł do jenerała; patrząc za odchodzącym Benedykt pomyślał:

— Pierwszym razem była to Opatrzność, ale lękam się czy teraz nie będzie fatalizm!...

XXXVIII.

Fatalizm.

Sturm siedział w gabinecie; w fizyognomii jego najmniejsza nie zaszła zmiana.

— Daruj kochany baronie, rzekł do wchodzącego Fryderyka, iż nagląc pierwej, teraz opóźniam twój wyjazd, ale chcę prosić cię o małą przysługę.

Fryderyk skłonił się milcząc.

— Wiadomo ci, baronie, że jenerał Mantteuffel

nałożył na miasto kontrybucyą, w sumie 25 milionów.

— Wiem o tem, odrzekł, ale za olbrzymi to ciężar na biedne miasto, liczące najwięcej 40 tysięcy mieszkańców.

— Nie 40 ale 72 tysiące, odparł Sturm.

— Nie, panie jenerale. Frankfurtczyków jest tylko 40 tysięcy, gdyż 32 tysiące innych mieszkańców, są to cudzoziemcy.

— Nic nas to nie obchodzi, odrzekł jenerał zaczynając się niecierpliwić; wykazy statystyczne podają 72,000 ludności, i jenerał Manteuffel nałożył kontrybucyą odnośnie do tej liczby.

— Lecz skoro się omylił, rzekł łagodnie Fryderyk, zdaje mi się, że wykonawcy rozkazów jego powinni wykazać mu pomyłkę.

— A nam co do tego!... powiedziano 72,000 więc jest 72,000; powiedziano 25,000,000 florenów, więc będzie 25,000,000... Aż oto co się dzieje! wyobraź sobie, baronie, zebrawszy się na posiedzenie, senatorowie oznajmili, że możemy spalić miasto prawem mocniejszego, ale nałożonej kontrybucyi nie zapłacą.

— Byłem na tem posiedzeniu, odrzekł spokojnie Fryderyk, odbyło się z wielką godnością, spokojem i smutkiem.

— Ta! ta! ta! ta! zawołał Sturm. Opuszczając Frankfurt, jenerał Manteuffel rozkazał jenerałowi von Roeder, ażeby ściągnął z miasta nałożone 25,000,000 florenów — i Roeder rozkazał miastu, aby je zapłaciło... Cóż nas mogą obchodzić posiedzenia Senatu! Roeder był tu przed chwilą; widząc że nie wie jak sobie radzić, powiedziałem mu: „Jesteś za młody, zdaj to na mnie i bądź spokojny. Mam szefa sztabu, który ożenił się w Frankfurcie i jest tu zamieszkały, zna doskonale Frankfurt i wie co do grosza, jaki kto posiada majątek — on nam wskaże z łatwością 25 milionerów... Wszak znajdzie się ich tylu w Frankfurcie?

— Jest ich nawet więcej jak dwudziestu pięciu.

— Doskonale! więc najpierw zajrzymy do ich skrzyń, reszta zapłaci co zbraknie.

— I liczyłeś pan na mnie, że będę denuncyował tych, który zamierzasz rabować! odrzekł Fryderyk, z lekkim drżeniem w głosie.

— Liczyłem na to, że bez wszelkich wzdragań podyktujesz nam pan dwadzieścia pięć nazwisk i dwadzieścia pięć adresów. Siadaj pan, proszę, i pisz.

Fryderyk usiadł, wziął pióro i napisał:

„Honor nie dozwala mi zostać denuncyantem moich współobywateli, i dlatego upraszam jaśnie wielmożnych jenerałów von Roedera i Sturma, aby do kogoś innego zwrócili się po żądane objaśnienia.

Frankfurt 22 lipca 1866 r.

Fryderyk baron von Below.”

Poczem wstał i z głębokim ukłonem oddał jenerałowi papier.

— A toż co? zapytał tenże.

— Niech pan jenerał raczy przeczytać.

Sturm przeczytał i spojrzał z ukosa na swego szefa sztabu.

— A! a! więc to w ten sposób odpowiadają na moje prośby, zobaczymy jaka będzie odpowiedź gdy wydam rozkaz. Siadać i pisać!

— Nigdy nie cofam co powiedziałem, ilekroć mówię jak mi nakazuje honor i peczucie osobistej godności. Król mianował mnie szefem sztabu jenerała a nie instygatorem; każ mi zdobyć jakąś pozycyą — zdobędę ją; każ szarżować na bateryę dział — spełnię rozkaz — dalej nie sięga prawo rozkazywania mi, ani mój obowiązek posłuszeństwa.

— Obiecałem jenerałowi von Roeder listę i adresa bogatych bankierów Frankfurtu i powiedziałem, że pan mi jej dostarczysz — przyślę po nią za godzinę, cóż chcesz pan abym odpowiedział?

— Niech pan jenerał mu powie, że odmówiłem.

Sturm skrzyżował ręce i rzekł postępując ku Fryderykowi:

— I możesz myśléć baronie iż ja zezwolę na to, aby podwładny odmówił mi czegokolwiek?

— Myślę, że zastanowiwszy się, jenerale, sam uznasz, iż wymagasz ode mnie nietylko rzeczy niesprawiedliwej ale wprost hańbiącej, i wdzięczny mi będziesz, żem odmówił posłuszeństwa. Dozwól mi jenerale odjechać a natomiast każ przywołać jakiegoś urzędnika policyjnego, który spełni jego żądanie, jako wchodzące w zakres jego działalności.

— Panie baronie, odrzekł Sturm, chciałem wysłać do króla gorliwego poddanego, dla którego upraszałem o nagrodę, — nie może więc otrzymać jej kto na nią nie zasługuje. Oddaj mi pan list do j. k. mości.

Fryderyk wyjął list z kieszeni i pogardliwie rzucił na stół.

Twarz jenerała poczerwieniała; pokrywające ją plamy posiniały: oczy ciskały płomienie.

— Napiszę do króla jak mu służą jego oficerowie, krzyknął wściekłym uniesiony gniewem.

— Pisz pan, ale i ja napiszę jaką hańbą okrywają armię jego jenerałowie! odrzekł Fryderyk.

Sturm rzucił się i pochwycił szpicrutę.

— Zdaje mi się, iż powiedziałeś pan „okrywają hańbą” nie powtórzysz tych słów!

— Okrywają hańbą! powtórzył zimno Fryderyk.

Wściekłym uniesiony gniewem, Sturm krzyknął i zamierzył się szpicrutą na młodego oficera; opuścił ją jednak widząc niezachwiany jego spokój.

— Grozić czy uderzyć, to jedno odpowiedział Fryderyk i przysunąwszy się do stołu na którym już pisał, usiadł i pewną ręką nakreślił kilka wierszy.

Potem otworzył drzwi do przedpokoju, i przyzywając obecnych tam oficerów, rzekł:

— Panowie, powierzam ten papier waszej uczciwości; proszę przeczytajcie co zawiera:

„Proszę o uwolnienie od obowiązków szefa sztabu jenerała Sturma i o dymisyą z wojska pruskiego.

Dzień 22 lipca 1866 r. dwadzieścia pięć minut po południu.

Fryderyk von Below.”

— Co to ma znaczyć? zawołał Sturm.

— Ma znaczyć, że od dwóch minut nie służę w wojsku j. k. mości i nie jestem podwładnym tego, który mnie znieważył. Panowie, człowiek ten podniósł na mnie szpicrutę, którą jeszcze trzyma w ręku — a zwracając się do jenerała dodał: Wyrządziłeś mi pan obelgę, musisz dać zadośćuczynienie. Proszę was, panowie, zatrzymajcie moje podanie o dymisyą i bądźcie świadkami, że nie krępują mnie żadne obowiązki militarne, w chwili gdy mówię temu panu, że nie jest moim zwierzchnikiem, a zatem nie jestem jego podwładnym. Wyrządziłeś mi pan śmiertelną zniewagę, albo ja pana, albo pan mnie zabijesz.

Sturm parsknął śmiechem.

— Podałeś się pan do dymisyi, rzekł, ale ja jej nie przyjmuję. Do aresztu! krzyknął tupiąc nogą i podchodząc ku Fryderykowi; do aresztu na dwa tygodnie!

— Nie masz pan już prawa wydawać mi rozkazów; więc nie pójdę.

Sturm mocniej jeszcze uderzył nogą w posadzkę i znów o krok bliżej podszedł do Fryderyka, krzycząc:

— Do aresztu!

Fryderyk oderwał szlify i rzekł spokojnie:

— Jest 35 minut po dwunastej, więc już od dziesięciu minut nie masz pan prawa tak przemawiać do mnie.

Sturm rozszalały, wściekły, posiniał pieniąc się ze złości i powtórnie podniósł szpicrutę na majora, ale tym razem uderzył go nią w twarz i w ramię.

Fryderyk wydał straszny krzyk, odskoczył w tył i dobył szpady.

— Ha! dobrze, krzyknął Sturm, nie pójdziesz pan do aresztu ale stawiony będziesz przed sąd wojenny!... A! szaleniec! niedołęga! krzyknął wybuchając śmiechem, woli być rozstrzelanym niż podać 25 adresów.

Słysząc ten bezczelny śmiech, Fryderyk rzucił się na niego; ale zastąpili mu drogę, dwaj czy trzej oficerowie, których przyzywał z przedpokoju, i rzekli cicho:

— Uchodź pan, my go uspokoimy!

— Czy i mnie panowie uspokoicie, mnie któręgo poważył się uderzyć?

— Damy panu słowo honoru, że nie widzieliśmy tego.

— Ale ja czułem a że dałem słowo, że jeden z nas musi umrzéć, więc tak będzie... Żegnam panów!

Dwóch oficerów chciało pójść za nim i czynić przedstawienia.

— Do miliona piorunów! niech nikt nie wychodzi prócz tego szaleńca, którego gewaltiger potrafi znaleźć gdziekolwiek będzie, krzyknął Sturm.

Oficerowie zostali, spuściwszy głowy; Fryderyk wybiegł z gabinetu.

Na schodach spotkał starą baronową von Beling.

— A toż co znaczy ta dobyta szpada? zapytała.

— A! zapomniałem, odrzekł, i włożył szpadę w pochwę.

Pobiegł do pokoju żony i gwałtownie przycisnął do serca; następnie zbliżył się do kolebki, wyjął synka uściskał i podnosząc na równi z głową swoją, wpatrywał się w niego dopokąd łzy nie zasłoniły mu oczu. Wtedy oddał go matce, oboje ujął w objęcia łącząc ich jednym uściskiem i wypadł prędko z pokoju.

W pięć minut później rozległ się odgłos wystrzału.

Benedykt będący w pokoju Heleny i trawiony ciągle jakąś nieokreśloną obawą, usłyszał go najpierwszy. Karol otworzył oczy i wyszeptał imię Fryderyka. Zdawałoby się, że bliższy śmierci od innych, został przez nią zawiadomiony o tem co zaszło.

Usłyszawszy wymówione przez Karola imie Fryderyka, wydał krzyk przerażenia gdyż ciągle stała mu na myśli złowroga wypowiedziana mu przepowiednia; wybiegł pędem z pokoju, przeleciał schody i stanął przed drzwiami pokoju Fryderyka. Chciał wejść, ale zamknięte były z wewnątrz.

Wysadził je silnem uderzeniem.

Fryderyk leżał na posadzce; ręka jego trzymała jeszcze pistolet którym odebrał sobie życie.

Przyłożył lufę do prawej skroni i wystrzelił.

Na stole leżał papier jego napisany ręką; zawierał co następuje.

„Jenerał Sturm uderzył mnie w twarz i odmówił zadośćuczynienia—nie chciałem żyć z piętnem hańby... Ostatniem mojem życzeniem jest, aby ukochana żona moja, w żałobne odziana szaty, zaraz dziś wieczór pojechała do Berlina do królowej, i uprosiła u j. k. mości zwolnienie od kontrybucyi 25,000,000 florenów, których, ręczę honorem, miasto nie jest w stanie zapłacić. Niech ta mysl, że przyczyni się do ocalenia rodzinnego miasta, będzie jej pociechą w strasznej boleści jaką jej śmierć moja sprawi.

Pomszczeniemej śmierci przekazuję Benedyktowi.

Fryderyk baron von Below."

Kończył czytać, gdy krzyk rozdzierający rozległ się w pokoju; zaledwie miał czas wyciągnąć ręce i pochwycić panią von Below.

Usłyszawszy wystrzał, przypomniała sobie gwałtowne wzruszenie i łzy Fryderyka gdy ją żegnał przed chwilą, które brała za smutek wynikający z rozłączenia z powodu nagłego wyjazdu, i straszna myśl zabłysła w jej umyśle. Odgłos wystrzału zdawał się pochodzić z pokoju męża; wyszła ze swego i przebiegłszy schody, przez zostawione otworem drzwi pokoju męża, ujrzała okropny widok — ukochanego Fryderyka leżącego na ziemi, krwią zbroczonego.

Benedykt podtrzymał nieszczęśliwą kobietę, i dopomógł jej uklęknąć przy zwłokach męża. W tej chwili sędziwa pani von Beling weszła do pokoju; zostawił je przy zmarłym, a sam wyszedł zabierając papier obejmujący ostatnią wolę zmarłego.

Dochodząc do pokoju Heleny, spotkał ją w korytarzu zaniepokojoną wystrzałem.

— Fryderyk uprzedził Karola, rzekł jej, przychodzi nam opłakiwać śmierć jego; ale nie zapominaj pani, że najmniejsze wzruszenie mogłoby zabić Karola; umiesz panować nad sobą i posiadasz wielką siłę charakteru; powstrzymuj łzy, płacz sercem, ale niech Karol nie wie, że przyjaciel jego żyć przestał.

Helena zbladła okropnie i ręką przycisnęła serce.

— Jakto?... więc?... wyszeptała zaledwie.

— Fryderyk, wystrzałem z pistoletu odebrał sobie życie; idź pani złożyć na jego czole pocałunek siostry i wracaj do Karola. Siostra pani ma święte do spełnienia posłannictwo i wiem, że je spełni — zresztą ja zajmę się wszystkiem. Daję pani dziesięć minut do pożegnania szwagra, którego kochałaś jak brata; tam możesz zapłakać z babką i z siostrą, przez ten czas ja pozostanę przy Karolu.

W chwilach ważnych, Benedykt umiał przemawiać głosem poważnym i uroczystym, nakazującym posłuszeństwo. Helena cała drżąca weszła na schody, kolana uginały się pod nią. Benedykt zajął jej miejsce przy łożu rannego.

Karol miał się coraz lepiej, oczy miał otwarte, uśmiechem i ręką powitał Fryderyka.

(D. c. n.)

ŚWIAT NUDÓW.

Komedya w 3-ch aktach

p. EDWARDA PAILLERON.

Przekład

E. Lubowskiego.

AKT III.

(Dalszy ciąg.)

Scena trzecia.

PANI de CÉRAN, KSIĘŻNA, (ukryte na lewo).

Bellac. Oj! jakże te drzwi skrzypią!

Pani de Céran. Bellac!

Księżna. Bellac!

Bellac. Tu jakoś niebardzo widno.

Pani de Céran. Widzisz, że wszystko się sprawdza.

Księżna. Wszystko, nie!... Dopiero jest połowa.

Pani de Céran. A druga niedaleko.

Księżna. Bądź co bądź, jest to tylko wybryk szalonej głowy, nieroztropność pensyonarki... Nie jest to możebnem. (Drzwi skrzypią.) Otóż i ona!... Oh! jakże mi bije serce... W tego rodzaju sprawach choćby się było nie wiem jak pewną, nigdy się nie jest pewną... Czy widzisz ją?

Pani de Céran (patrząc). Ah, to ona!... a tu zaraz Rogier który ją śledzi wpadnie i... gdybyśmy się pokazali, księżno.

Księżna. Nie... nie... teraz chcę wiedzieć jak dobrze są ze sobą, chcę raz wiedzieć prawdę.

Pani de Céran (patrząc ciągle). Umieram z niepokoju... Dekoltowana... tak, to ona... to, niestety, ona...

Księżna. A! ty mała nic dobrego!... Pozwól, niechno ja zobaczę! (Patrzy przez liście, po chwili.) Czy ty wiesz.

Pani de Céran. Co takiego?

Księżna. Popatrz.

Pani de Céran (patrząc). Łucya!

Księżna. Łucya.

Pani de Céran. Cóż to znowu ma znaczyć?

Księżna. Jeszcze dobrze nie wiem, ale w każdym razie wolę, że tak jest.

Scena czwarta.

PANI de CÉRAN, KSIĘŻNA (ukryte na pierwszym planie), BELLAC i ŁUCYA (szukają się we środku), PAWEŁ (wchodząc z głębi na lewo), JOANNA (idzie za nim i wstrzymuje go).

Joanna. Nie, nie, Pawełku!

Paweł. Tak, tak... poczekaj chwileczkę żeby tylko popatrzeć. Tutaj o tej godzinnie, to muszą być chyba zakochani, mówię ci... W takim domu... nie... to przecie ogromnie zabawne!

Joanna. Strzeż się.

Paweł. Cicho!

Łucya. Czy to pan, panie Bellac?

Paweł. Angielka.

Bellac. Tak, panno Łucyo.

Paweł. I profesor... Angielka i profesor! — Kiedym ci mówił, że tu będzie jakaś intryga, jakieś rendez-vous... no, ja już teraz ztąd ani myślę odejść.

Joanna. Jakto?

Paweł. Potem ty... chciałabyś odejść?

Joanna. Ani myślę. (Chowają się za drzewa.)

Łucya. Czy pan jesteś z tej strony?

Bellac. Z tej... przepraszam panią... ale zazwyczaj cieplarnia bywa lepiej oświetlaną... i nie wiem dlaczego dziś wieczór... (Postępuje ku niej.)

Pani de Céran. Łucya?... zatem Zuzanna?... nic już nie rozumiem.

Księżna. Zaczekaj chwileczkę a zdaje mi się, że zrozumiemy wszystko.

Łucya. Ale panie Bellac, cóż to znaczy ta niby schadzka, albo ten pański list z dzisiejszego poranku?... poco pisać do mnie?

Bellac. Poto, żeby się z tobą rozmówić. Miss Łucyo. Alboż to po raz pierwszy odosobniamy się w ten sposób, jedynie w celu wymiany naszych myśli?

Paweł (dusząc się od śmiechu, po cichu do Joanny). Uj!... „wymiany"... nie wiedziałem, że się to tak nazywa.

Bellac. Ciągle pod wzrokiem wszystkich od czasu jak tu jestem, jakiż inny środek miałem znaleść ażeby mówić z panią sam na sam?

Łucya. Jaki inny? Potrzeba mi było podać ramię i wyjść z salonu ze mną poprostu. Ja przecież nie jestem naiwną dzieweczką francuzką.

Bellac. Ale pani jesteś we Francyi.

Łucya. We Francyi, czy gdziebądź, zawsze robię to co mi się podoba, nie potrzebuję sekretów a tembardziej tajemnic. Pan zmieniasz swoje pismo... nie podpisujesz... a nawet ten papier różowy... Już to z pana nieodrodny Francuz.

Paweł (pocichu do Joanny). Urodzony figlarz.

Bellac. Jakże pani wspaniale wygląda — jako muza poważna nauki, jako pyszna, zimna i dumna. Polihimnia!... Proszę usiąść!

Łucya. Nie, nie... i przekonaj się pan jak wszystkie ostrożności wypadły przeciw panu... zgubiłam ten list.

Księżna (trochę głośniej). Teraz rozumiem. (Poruszenie Łucyi na lewo.)

Bellac. Co takiego?

Łucya. Czyś pan nic nie słyszał?...

Bellac. Nie.. więc pani zgubiła?...

Łucya. A co pan sądzisz, że sobie pomyśli ten który list znajdzie?

Księżna (pocichu do pani de Céran). Zaczynam teraz pojmować?

Łucya. Prawda że nie było koperty... ani nawet adresu...

Bellac. Ani mego podpisu... widzi pani jak dobrze uczyniłem. W każdym razie sądziłem, że uczyniłem dobrze, droga panno Łucyo, i dlatego przebacz twojemu profesorowi... twojemu przyjacielowi... i usiądź proszę o to.

Łucya. Nie — powiedz mi pan tylko co miałeś powiedzieć pod tak wielkim sekretem, a potem wracajmy.

Bellac (zatrzymując ją). Zaczekaj pani — dlaczegoś pani nie przyszła na dzisiejszy mój odczyt?

Łucya. Bo musiałam właśnie ciągle szukać tego listu. O czem chciałeś pan ze mną mówić?

Bellac. Jak pani niecierpliwie pragnie mnie opuścić! (Daje jej pakiet listów związanych różową wstążeczką.) Weź pani to!

Łucya. Korekta!

Bellac. Mojej książki.

Łucya. Pańskiej książki?... Ah, panie Bellac!

Bellac. Chciałem, ażebyś pani jedna poznała się z mojem dziełem przed wszystkiemi innemi, panie jedna!

Łucya (chwytając go za ręce z zapałem). Ah, mój przyjacielu!

Paweł (wstrzymując śmiech). Nie, ten podarek miłości hi, hi, hi! (Poruszenie Bellaca z lewej strony.)

Łacya. Co panu?

Bellac. Nic... zdawało mi się tylko... pani przeczytasz tę książkę, tę książkę, w której tchnąłem myśli moje i z której przekonasz się o naszej doskonałej łączności... jestem tego pewny... wyjąwszy na jednym punkcie... Och! co do tego punktu...

Łucya. Jakiego?

Bellac (czule). Czyż to możliwe, że pani nie wierzysz w miłość platoniczną?

Łucya. Nic a nic.

Bellac (z wdziękiem). A jednak my...

Łucya. Między nami istnieje przyjaźń.

Bellac. Przepraszam, tkwi w tem coś silniejszego aniżeli przyjaźń i wznioślejszego aniżeli miłość.

Łucya. W takim razie jestto większe aniżeli jedno, a doskonalsze aniżeli drugie, bo nie jestto ani jednem, ani drugiem, a teraz jeszcze raz dzięki, dzięki po tysiąckroć, lecz wracajmy... (Chce odejść.)

Bellac (zatrzymując ją ciągle). Jeszcze słówko!

Łucya. Nie, nie, wracajmy.

Paweł (do Joanny). Nie idzie mu.

Bellac. Zaczekajże pani, zaklinam panią! dwa słowa, objaśnij mnie, albo wytłomacz się.... kwestya tego warta... otóż zastanówmy się, Łucyo...

Łucya (ożywiając się, przechodzą na prawo). Zastanówmy się mój przyjacielu... twoja miłość platoniczna, biorąc ją filozoficznie, nie da się podtrzymać.

Bellac. Pozwól, miłość ta jest przyjaźnią...

Łucya. Jeżeli jest przyjaźnią, to nie jest miłością!

Bellac. Jednakże tło jest podwójne...

Łucya. Jeżeli jest podwójne, to już nie jest jedne.

Bellac. Lecz jest zmieszanie! (Siada.)

Łucya. Jeśli jest zmieszanie to nie ma charakteru... i ja pójdę nawet dalej... (Siada także.)

Paweł (do Joanny). Załapała się.

Łucya. Przecz iżby zmieszanie możliwe było między miłością, która ma indywidualizacyą za podstawę, a przyjaźnią, formą sympatyi czyli faktu, w którym moje *ja* staje się pewnego rodzaju *nie-ja*, przeczę temu absolutnie, najabsolutniej!

Księżna. Nieraz słyszałam o miłości, ale nigdy o takiej.

Bellac. Zastanówmy się Łucyo!

Łucya. Zastanowimy! Tak czy nie? Czynnik główny...

Bellac. Weźmy Łucyo przykład, przypuśćmy dwie istoty jakiebądź — dwie abstrakcye — dwie istności — mężczyznę jakiegobądź — i kobietę jakąbądź, oboje kochają się, ale miłością pospolitą, fizyologiczną, wszak mnie pojmujesz?

Łucya. Doskonale!

Bellac. Przypuszczam że oni znajdują się w takiem położeniu jak my, cóż z tego nastąpi?

Księżna (do pani de Céran). Ja się domyślam, a ty?

Bellac. Fatalnie — proszę dobrze uważać — fatalnie okaże się fenomen następujący.

Joanna (do Pawła). Bardzo interesujące!

Paweł (jakby do Łucyi). Zatem, mościa pani?

Bellac. Oboje, albo co prawdopodobniej, jedno z nich, a raczej pierwszy, mężczyzna...

Paweł (do Joanny). Istność męzka!

Bellac. Zbliży się do tej, którą zdaje mu się, że kocha... (Zbliża się do Łucyi.)

Łucya (trochę się odsuwając). Lecz...

Bellac (przytrzymując ją zlekka). Nie, nie... zaraz się przekonasz: zatopią oni swoje spojrzenia w sobie, zmieszają swoje oddechy i swoje włosy...

Łucya. Lecz panie Bellac...

Bellac. A wtedy... a wtedy... odbędzie się w ich *ja*... niezależnie od ich *ja* samego przez się, szereg nieprzerwany aktów nieświadomych, które przez pewnego rodzaju postęp, powolny ale nieomylny *processus;* rzuci ich że tak powiem w fatalność rozwiązania przewidzianego, w którym wola okaże się za słabą, inteligencya żadną, a dusza niczem.

Łucya. Pozwól pan jednak... ten procesus...

Bellac. Proszę zaczekać... przypuśćmy teraz inną parę i inną miłość zamiast miłości fizyologicznej czyli miłość psychiczną między parą osób jakąbądź; — okażą się dwa wyjątki: — wszak pani śledzisz bieg mojej myśli?

Łucya. Tak.

Bellac. I oni także, siedząc jedno obok drugiego, zbliżą się do siebie.

Łucya (oddalając się jeszcze). Lecz w takim razie będzie to jedno i to samo.

Bellac (zatrzymując ją ciągle). Zaczekaj Łucyo, tu zaraz dostrzeżesz odcień. Pozwól że ci ukażę ten odcień. I oni także mogą utkwić w sobie spojrzenia, zmieszać swoje włosy...

Łucya. Lecz koniec? (Wstaje.)

Bellac (zmuszając ją aby usiadła). Tylko że... tylko że... patrzą już oni nie na swoją urodę, ale w swoją duszę, i wtedy słyszą nie głosy swoje ale tętna myśli swych! I gdy nareszcie drogą pokrewnego ale całkiem innego *processus*, doszli i oni także do tego punktu ciemnego a niewyraźnego, w którym istota czuje się nieświadomą, — do tego oszołomienia cudownego woli, które zdaje się być równocześnie i *summum* i *terminus* rozkoszy ludzkiej, — oni nie obudzą się już na ziemi ale w pełnem niebie, bo miłość ich uniosła po nad burzliwe obłoki namiętności gminnych w przeczysty eter wzniosłego idealizmu! (Milczenie.)

Paweł (do Joanny). Teraz ją pocałuje.

Bellac. Droga Łucyo, czy mnie ty rozumiesz? Powiedz, powiedz, że mnie rozumiesz!

Łucya (zmieszana). Lecz zdaje mi się... że dwa te tła...

Paweł. Co oni z tem tłem! Ogromnie zabawni!

Łucya (ciągle zmieszana). Jednak dwa te tła są identyczne...

Paweł. Identyczne!

Bellac (namiętnie). Identyczne?!... Łucyo, Łucyo jakżeś okrutna!... Identyczne, pomyśl-że przecie, że to wszystko jest subjektywne!

Paweł. Subjektywne!... jak Boga kocham, niewytrzymam.

Bellac. Subjektywne, Łucyo, zrozum-że mnie!

Łucya (zupełnie zmieszana). Ależ mój profesorze! Subjektywne!

Joanna (do Pawła). Nie pocałuje jej.

Paweł. Zato ja ciebie pocałuję.

Joanna (broniąc się). Pawełku! (Odgłos całusów.)

Bellac i *Łucya* (zrywają się przestraszeni). Coto?

Księżna (zdziwiona także wstaje). Coto? oni się całują?

Łucya. Ktoś jest tutaj!...

Bellac. Weź, weź moją rękę...

Łucya. Podsłuchiwano nas... och! profesorze, mówiłam ci...

Bellac. Zbliż się tu do mnie!

Łucya. Ależ ja okropnie skompromitowana! (Wychodzi.)

Bellac (idąc za nią). Naprawię ja to droga miss, naprawię!

(D. n.)

KORESPONDENCYA

Z WIEDNIA.

Kongres literacki, Bogu dzięki, skończył się i panowie literaci rozpierzchli się na wszystkie strony, jak ptactwo wędrowne, aby znów w przyszłym roku zebrać się w innem miejscu i wspólnej użyć zabawy. Że zebrania podobne bardzo są miłe i przyjemne dla godowników, nikt temu przeczyć nie będzie: czy pożytek jaki przyniosą, to rzecz wątpliwa, ale to pewna, że jeżeli z narad wyniknie jakie praktyczne zastosowanie, to się odbije na naszej skórze i dobrze da się nam we znaki. Literaci też polscy jakby przeczuwając to, w nader małej liczbie reprezentowali ogół swych towarzyszy: że byli, grzechu tem wielkiego nie popełnili, ale gdy się zdecydowali na współuczestnictwo, to powinni byli otwarcie, bez osłonek wypowiedzieć swe zdanie a jeżeli tego zrobić nie chcieli czy nie mogli, to powinni byli wyłączyć się z kongresu, a powód tego wyjaśnić piśmiennie.

Co na kongresie robili, jak się bawili, pili i jedli, jak przemawiali, honorowali się wzajemnie i jak przyglądali się naszej skórze, czy zdatna na zdarcie, nie będę wam tego opowiadał, bo pisma codzienne, aż do znudzenia o tem prawiły. W miejsce więc masła maślanego, powtórzę wam poważne słowa, równie poważnej osoby, pomieszczone w „Czasie” w tym sensie:

„*Czas* podawał już pod właściwą rubryką szczegóły dotyczące zjazdu literatów w Wiedniu; wiedzą już wasi czytelnicy, ile mówek wypowiedziano, co zjedzono i wypito. Wogóle kongres nie przedstawiał się w świetle nazbyt różowem, a całe stowarzyszenie jest wymysłem ex-komunisty Lerminy, który w braku talentu, wytworzył sobie synekurę. On łącznie z panem Ulbachem, dawnym naczelnym redaktorem dziennika „La Cloche”, prowadzi całą rzecz. Obadwaj ci panowie dziś cieszą się protekcyą pana Juliusza Ferrego, który niegdyś w ich dzienniczku coś tam pisał. Że Galicyanie nie brali udziału w kongresie, to naturalne, skoro gospodarzem uroczystości była „Concordia”, największy wróg interesów polskich w Austryi; że Kraszewski przyjechał, dobrze zrobił, bo zajmował pierwsze miejsce w kongresie, a ztąd poznało go wielu, na czem polska sława tylko zyskać może; Warszawa też prezentowała się nieźle przynajmniej ilościowo. Wogóle biorąc, oprócz poznania między sobą literatów różnej narodowości, kongres nietylko dla nas nie przedstawia interesu dodatniego, ale przeciwnie ujemny. Obowiązek opłaty za tłomaczenie dzieł byłby dla nas niezmiernie uciążliwy, a postanowienie takich praw obciążyłoby dotkliwym haraczem i tak już ubogi nasz ruch wydawniczy i dziennikarski. Wymaganie takiego podatku od biedniejszych literatów nieodpowiednie jest dla pisarzy i przewodników inteligencyi europejskiej; własność literacka nie jest bułką, wsią, ani sztuką płótna, aby ją pod ogólne prawa, broniące własności ruchomych i nieruchomych podciągać. Jeżeli kodeksa wszystkich krajów bronią dziś wprawdzie na czas ograniczony wydawania i naśladowania płodów cudzego ducha, to trudno wymagać, aby robiły więcej i zatamowały rodzajem przepisów celnych wymianę myśli między różnemi narodami. Nie pisałbym jednak o tem i o kongresie wogóle, bo prawo o tłomaczeniach pewno w krainie przywidzeń pozostanie, ale chciałem właśnie poruszyć kwestyą...”

...Wyręczając autora, dodam: kwestyą chciwości niczem nienasyconej.

Załatwiwszy się z kongresem, jak na to zasługuje, przechodzę teraz do sprawozdania z ruchu literackiego o najnowszych wydawnictwach:

Pierwsza wzmianka należy się sławnemu historykowi, Leopoldowi von Ranke, który olbrzymią, prawdziwie pomnikową pracę swoją rozpoczął od wydawnictwa pierwszych dwóch tomów swej historyi powszechnej, stanowiących jej pierwszą część. Trzeba niezwykłej odwagi aby w obecnej epoce cywilizacyi i tylu znakomitych prac traktujących o przeszłości dziejowej, wzbogacanych nieustannie nowemi odkryciami nauki i archeologii, zabrać się do pisania historyi powszechnej. Niezadługo zapewnie nadejdzie chwila, w której nikomu nawet na myśl nie przyjdzie opracowywanie dzieł traktujących o tylu razem rzeczach tak sprzecznych z sobą i tak różnorodnych, których dokładne zbadanie tak niezwyciężone prawie stawia trudności dla jednego człowieka. Jakiejże-to bowiem głębokiej nauki i wytrwałej pracy wymaga dokładne zbadanie dziejów choćby jednego tylko narodu! Jeden tylko Ranke mógł się pokusić i napisać dzieło tak kolosalne jako człowiek żelaznej wytrwałości, głębokiej nauki i niezmordowanej pracy, pisarz logiczny i jasny.

Dwa te pierwsze tomy obejmują dzieje ludów wschodnich: Persów, Medów, Egipcyan, Babilończyków, Assyryjczyków, Fenicyan, Hebrajczyków, etc. Ranke przyznaje względną tylko ważność rozwojowi tych starożytnych cywilizacyi, i dlatego opisowi ich poświęca w dziele swojem tylko 154 stronic, kiedy same dzieje Helenów do czasu założenia królestwa helleńskiego, obejmują 500. Nie pojmujemy dlaczego w tych początkowych dziejach autor nie podaje nigdzie chronoligii. Wprawdzie trudno o ścisłą dokładność dat w epokach tak mało znanych —jednakże od niejakiego czasu, odgrzebano tyle najróżnorodniejszych starożytnych pomników a szczególniej assyryjskich, że niektóre przynajmniej daty dokładnie oznaczyć można. A szczególniej w historyi powszechnej, która z konieczności musi być pisaną bardzo treściwie, porównanie dat z sobą jest nietylko pożytecznem ale niezbędnem.

Dalej zdaje nam się, że Ranke powinien był położyć nacisk na stanowczej chwili w której w dziejach świata wytworzył się monoteizm. Dziś dowiedzionem już jest, że jak inni, semici byli politeistami, że tyle było bożków ile miast i plemion. Dopiero od rozpoczęcia historyi greckiej, uwydatniają się właściwe dziejopisarzowi przymioty; znać że stanął na trwałym gruncie i pewnie stąpa po nim. Od owej chwili opowiadanie odznacza się wszechstronnością i głębokością poglądów, i życzyć należy aby uczonemu pracownikowi starczyło życia na ukończenie wielkiego rozpoczętego dzieła.

Pod ogólnym tytułem *In dem Gotteslandchen* p. Pantenius, autor *Romansów nadbałtyckich, Wilhelm Wolfschild, Sam i wolny*, wydał obecnie 2 tomy nowelli. Styl świetny i pełen życia, treść zajmująca, założenie dobrze przeprowadzone, dozwalają zaliczyć autora do pierwszorzędnych nowelistów. Pantenius dobrze i wiernie maluje charaktery i daje czytelnikom dokładny obraz owej walki rasowej Łotyszów z Niemcami, po dziśdzień jeszcze istniejącej cichaczem w Kurlandyi. Wiadomo, że Kurlandczycy nadają nazwę *Gottesland* (Bożego kraju) zamieszkiwanej przez siebie okolicy, a miano to usprawiedliwia poniekąd bogactwo gruntu i łagodny klimat. Kraj ten zostający obecnie pod panowaniem Rossyi, przechował dotąd zamiłowanie starych tradycyi przeszłości. Jest on po dziśdzień bardzo mało znany, i dopiero romansopisarz Ebers i pan Pantenius, pierwsi zaznajomili szersze koła czytelników z charakterem i osobliwszemi obyczajami tej ludności. Ebers w swych romansach cofa się do przeszłego stulecia i daje obrazy z życia ówczesnej społeczności kurlandzkiej.

Pomiędzy nowellami Pantenius'a jedna szczególniej przedstawia uderzającą analogią z oryginalną i rzewną opowieścią znanego amerykańskiego romansopisarza Bret-Harte'a. Mówimy tu o owej *Nocy św. Mikołaja*, w której dziki poszukiwacz złota naraża się na największe niebezpieczeństwa, aby przynieść zabawkę choremu dziecku. *Korsarz* Pantenius'a przedstawia barona kurlandzkiego, studenta, wiodącego hulaszcze i rozpustne życie. Pewnego razu, pijany, w czarną noc Bożego Narodzenia napotkał chore dziecię, któremu biedna matka nie była w stanie kupić najmniejszego podarku. W sercu jego zbudziło się uczucie litości; nie zważając na ciemną noc i tysiączne otaczające go niebezpieczeństwa, z zupełnem zaparciem siebie, puszcza się w drogę, aby nabyć jakiś podarek dla ubożuchnej dzieciny. Dopiero w zakończeniu nowelli uwydatnia się różnica zachodząca między dzikim romansopisarzem amerykańskim a nowelistą kurlandzkim. Powieść Bret-Harte'a kończy się tem, że śmiały Kalifornijczyk powraca nareszcie; zaś pisarz niemiecki przedstawia w swej nowelli, że choć późne rozbudzenie się szlachetnych uczuć odradza jego bohatera, który zrozumiał nareszcie godność człowieka i obowiązki jakie życie na niego wkłada. *(D. n.)*

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ Wszystkie nasze pisma podają szczegóły o mającej się budować kolei Dęblińsko-Dąbrowskiej, którą ogólne zajęcie się jest najzupełniej usprawiedliwione, jako rzeczą wielkiej doniosłości dla kraju a szczególniej dla okolicy Kielc i gór Święto-Krzyzkich. Geologiczne znaczenie tych gór opisał szczegółowo Robert Pusch zaznaczając iż skała kwarcowa, tworząca szczyty gór: Łysej i Łysicy, jest zupełnie podobna do szwedzkiego *Fialsondsteinu*. Jestto kwarc ziarnisty biały, szary, czasami zielonawy, przeplatany miką. Pod względem metalurgicznym, pasmo gór Św.-Krzyzkich jest bardzo ważne. Formacya przechodowa a mianowicie, wapień dostarcza pysznych marmurów, a obok tego znajdują się w nich żyły rudy ołowianej i ślady miedzi. Między skałą kwarcową a wapieniem leżą pokłady kruszczowe: rudy miedziane, miedź szarzykowata, płowokrzesz miedzi, czerń miedziana, malachit i lazur miedziany, miedź krzemionkowa, czerwona, rodzima ruda manganezowa, szara i czarna. Dotychczasowe zakłady fabryczne i górnicze nie są w stanie wyexploatować całego bogactwa kruszczów znajdujących się w tych okolicach, choćby tylko z powodu znacznych kosztów transportu; z ukończeniem nowej kolei, podniosą się już będące w ruchu i powstaną nowe zakłady; dziś już wiadomo jest że pewna kompania belgijska zamyśla założyć wielką fabrykę odlewów metalowych. Gleba tych okolic jest nader urodzajna ale gospodarstwo rolne na bardzo nizkim stopniu; ceny majątków podniosły się o 25 procent od czasu zatwierdzenia budowy kolei, a pomimo tego tylko, z nader małym wyjątkiem, właściciele ziemscy nie wypuszczają z rąk ziemi odziedziczonej po ojcach i dziadach.

Z łańcucha okalającego Kielce w górach Miedzianych już za Zygmunta III i następców jego, wydobywano rudę miedzianą, ołów, żelazo, a z Chęcińskich marmury. Kolumna Zygmunta wyrobiona jest z jednej wielkiej bryły chęcińskiego marmuru. Zadzik biskup krakowski, budując zamek biskupi w Kielcach, z tychże marmurów kazał wykuć wszystkie odrzwia i futryny, jakoteż frontową kolumnadę. Mieszkańcy wsi okolicznych od niepamiętnych czasów wszyscy byli kamieniarzami; wyrabiali z marmurów chęcińskich nagrobki, wazony, blaty do stołów, przyciski i t. p. przedmioty, które za bezcen sprzedawali na jarmarkach, w okolicznych miasteczkah. Przemysł ten kwitnął więc u nas o tyle o ile dozwalały nieprzyjazne warunki Oprócz żelaza i miedzi w XVII wieku wydobywano ołów z góry Machnowskiej. W drugiej połowie tegoż wieku górnik Hieronim Mali wykopał w tej górze wielką bryłę rodzimego ołowiu, i na podziękowanie Bogu kazał ulać z niej trzy posągi: Matki Boskiej, znajdujący się w kolegiacie kieleckiej, świętej Barbary znajdującej się w kościele XX. Bernardynów pod Kielcami, i świętego Antoniego, ofiarowany do kościoła w Zagdańsku. Opis faktu tego, częstochowskim rymem, mieści się na tablicy marmurowej, wprawionej w ścianę kościoła OO. Bernardynów na Karczówce. Oprócz rud kruszczowych i marmurów, w powyższych górach znajduje się wiele bardzo wapienia; dziś wydobywają go tyle tylko ile da się zużytkować na miejscu, a w górze Ciosowej, leżącej tuż za Miedzianą, mieszczą się ogromne pokłady czerwonego ciosu. Cios ten jest daleko twardszy od białego ciosu Szydłowieckiego i lepiej nadaje się do budowy chodników; jest także przydatny do budowy pomników i większych gmachów, a jak utrzymują, nadałby się i na bruk uliczny. Różnorodne te bogactwa, nagromadzone tu ręką czasu, marniejące dotąd nieużytecznie, mogą krajowi wielkie przynieść korzyści, gdy nowa kolej ożywi Kielce i okolice ułatwieniem komunikacyi.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Suknia strojna atłasowa. Spódnica zagarnirowana falbanami z szerokiej koronki wywodzonej nitką złotą. Vetement zapinane z tyłu, oryginalnie podpinane z boków, przemarszczone jest w ten sposób, iż ma na staniku odznaczony rodzaj gorsecika, odpowiednio do niego przemarszczane są i rękawy. Kokardy z wstążki serge.

Negliż w guście japońskim z materyi faille. Szczegółowy opis i krój takiego negliżu zamieszczony w N. 36 na ryc. 39, tam więc odsyłamy czytelniczki; dodajemy tylko że przy negliżu z białej deseniowej materyi jedwabnej otwartym z przodu widać spodnią suknię kaszmirową. Kołnierz i obłożenie z kolorowego atłasu.

Ubranie dla małej dziewczynki. Sukienczka niebieska garnirowana białą koronką ma kołnierz pelerynowy i rękawy szeroko otwarte. Okrągły kapelusz podszyty atłasem niebieskim i zdobny piórami.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 29 Сентября 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 42 r. 1881.

IDA LATIMER.

Przez

RODĘ BROUGHTON.

Przekład

K. P.

(Dalszy ciąg.)

— Ale to nie jest dla pani droga obowiązku! zawołał Burnet porywczo, Pani się myli. Miss Marlowe zajmuje właściwe sobie miejsce; dobrze jej z tem, ojciec i wszyscy zresztą są z tego zadowolnieni; nie pojmuję dla czego pani miałaby koniecznie stawać między nimi.

— Czy to być może? zawołała z uniesieniem, aby *pan także* stawał przeciwko mnie, w jej obronie?

— Nie idzie tu bynajmniej o to, zawołał zniecierpliwiony takim brakiem logiki. Co do niej, widziałem ją dziś raz pierwszy i nie pragnę widzieć więcej; mowię tu wyłącznie tylko o obowiązku i sprawiedliwości, a jeźli pani, wskutek fałszywych pod tym względem wyobrażeń, zamierza staczać walkę z całą rodziną, sądzę że nie mogę pani oddać większej przysługi, jak wyprowadzając ją z błędu.

Prawie mu żal było że odezwał się tak surowo, widząc jak gwałtowną walkę w duszy Idy wywołały jego słowa. Milczała czas jakiś silnie wzburzona, ale uspokoiła się nakoniec i rzekła łagodnie, prawie pokornie:

— Sądzę że pan ma słuszność... Otworzył mi pan oczy... Ale jeżeli już nie jestem im potrzebną, jeżeli wolą abym się ztąd oddaliła, to cóż mam czynić na przyszłość. Jaką mi pan daje radę?

Nie tylko w jej słowach, ale w jej całej postawie i w oczach zroszonych łzami, malowała się tak nieograniczona ufność, że surowy mentor zaledwie mógł zapanować nad sobą.

— Wiem dobrze,—mówiła dalej, trochę tem zmieszana, że nie otrzymała od niego ani słówka zachęty, wiem że nie mam prawa trudzić pana opowiadaniem o mych kłopotach i przykrościach, ale sądzę że... zresztą nawyknienie... przyzwyczaiłam się zasięgać rady od pana...

— Chciałbym bardzo dopomódz pani, odpowiedział nie patrząc na nią; ale w rzeczach tak ważnych, wpływających na dalsze życie pani, nie mogę brać na siebie odpowiedzialności.

— Ma pan słuszność, odpowiedziała stłumionym głosem.

— Ale nie można się obawiać aby osobie w takiem położeniu jak pani, mogło zabraknąć doradców, a zresztą sądzę że pani potrafi się bez nich obyć.

Zadrżała, odebrawszy tak zimną odpowiedź.

— Tak pan sądzi? rzekła złamanym głosem, a jednocześnie dwie wielkie łzy zawisły na jej ciemnych rzęsach.

Jeźli zobaczy te łzy, będzie zgubiony. Odwrócił od niej oczy, i odpowiedział prędko:

— Nie tylko że tak sądzę, ale jestem tego pewny.

— Czy tak? odezwała się po chwili nieśmiało. Otóż musi pan sobie przypominać, co opowiadałam panu tak często o różnych moich zakładach dobroczynnych, jak były dobrze urządzone, i w jak kwitnącym stanie pozostawiłam je wszystkie; i cóż pan na to powie że obecnie wszystkie upadły!

— Jakto! wszystkie? zapytał z pewnem współczuciem.

— Niechże więc pan teraz wierzy jeszcze w siłę mego charakteru i w moje zdolności! Nie chcę zajmować się tem więcej, nie! nie powtórzę na wielką skalę niedorzeczności, którą już raz popełniłam. Chcieć dokonać coś prawdziwie użytecznego bez pomocy... *sama*... Nie!

Ostatnie te słowa wymówiła niepewnym, zaledwie dosłyszanym głosem.

Ściemniało się coraz więcej, i nad łąkami mgła lekka zaczęła się już unosić.

— Nie widzę dla czego pani miałaby pozostać samą, odezwał się trochę opryskliwie Burnet.

— W istocie, rzekła z wyrazem goryczy, mogę wziąść jakąś damę do towarzystwa... Nie byłoby w tem nic nagannego, a znalazłabym przecie kogoś takiego, co dla kawałka chleba podjąłby się znosić mój niemiły charakter.

— Nie o tem mówię, odpowiedział.

— W takim razie, chciał pan zapewnie powiedzieć że mogę iść za mąż?—powiedziała o ile mogła najspokojniej.

— Tak, właśnie, odpowiedział bardzo prędko.

Wstrząsnęła głową.

— Jest to możliwe, ale nieprzypuszczalne.

— Mam nadzieję, odezwał się po chwili niespokojnie, że pani nie uczyniła sobie jakiegoś lekkomyślnego przyrzeczenia... lub gdyby tak było że pani jest gotową je złamać?

— Nie! odpowiedziała wolno, powstając; nie powzięłam podobnego postanowienia. Myśl wyrzeczenia się tego co może być najmilszem w życiu, nie jest dla mnie więcej pociągającą jak dla wszystkich moich rówienniczek.

— Bardzo mnie to cieszy, rzekł Burnet blednąc i gasnącym głosem.

— Ale pomimo to, dodała wstrząsając swą śliczną główką, jestem najsilniej przekonana, że zostanę... sama... do ostatniej chwili życia.

Kończąc te słowa zwróciła na niego swe piękne oczy, jakby uległa jakiejś nieprzepartej sile, i pomimo wzrastających ciemności, mógł w tej chwili wyczytać co się działo w głębi jej duszy; jednak zapanował nad swem uczuciem i zachował milczenie.

— Już późno, rzekła Ida z westchnieniem, wracajmy.

Zeszli milcząc z pagórka, a w dziesięć minut później, stojąc w oknie swego pokoju, ścigała wzrokiem powóz unoszący go zdala od niej.

— Nieszczęsna duma! zawołała z boleścią, załamując ręce, ona-to, ona jedynie rozłącza nas z sobą.

XXVII.

Burnet nie pokazał się więcej, a Ida oczekiwała go naprożno; spoglądając często na drogę. Może nie miał ochoty wystawiać się znów na prośbę, którą już raz przebył. A jednak czas upływa szybko, jesień się zbliża, zielone przedtem pagórki pokrywają się purpurą, a chłodny wiatr rozpędza chmurki po niebie. Spełnił co mu nakazywała grzeczność i poprzestał na tem. Z początku sądziła że pochodzi to z jakichś niezależnych od niego przyczyn, następnie przyszło jej na myśl że to miss Tarlton zatrzymuje go przy sobie, i znowu zazdrość zbudziła się w jej sercu; zapewnie odbywają razem spacery w *koszyku* miss Anny, która tak lubi powozić. Prawdę mówiąc, Zofia radaby go zatrzymać jak najdłużej przy sobie, i nie kryła się z tem wcale, ale pomimo to Ida oskarżała ją niesłusznie.

Wracała często na to miejsce, na którem kiedyś siedzieli obok siebie, i przypominała sobie ostatnią z nim rozmowę, usiłując znaleźć w niej choć słabą iskierkę nadziei. Raz nakoniec gdy wracała zamyślona do domu, spostrzegła na dziedzińcu przed stajniami *poney-chaisse* Tarlton'ów, od którego odprzęgano właśnie zmęczonego poneya.

Serce podskoczyło jej w piersi. On pewno przyjechał! Zofia go przywiozła! Pobiegła śpiesznie do salonu, nie zdejmując nawet kapelusza, nie przygładziwszy włosów. Zatrzymała się chwilkę przy drzwiach, chcąc uspokoić się trochę. Zdawało jej się że słyszała tam jakiś głos męzki.

Znalazła w salonie tylko cztery osoby: Janinę pozującą na panią domu, usiłującą nadać sobie powagę, którąby zniewalała panny Tarlton do mniej poufałego obejścia, i zabawiającą Annę, gdy tymczasem Zofia prowadziła z panem Marlowe nader ożywioną rozmowę. Burnet nie przyjechał!

Pomimo tak przykrego zawodu, Ida z politowaniem spojrzała na wuja, który zawsze nie lubił rannych wizyt, a teraz musiał być tem więcej znudzony i niezadowolniony, że był zmuszonym sam bawić gości. Zadziwiła się też bardzo gdy spostrzegła, że jeżeli ktoś z obecnych w salonie zasługuje na politowanie, to tylko ona sama.

Wprawdzie miał jakiś dziwny wyraz twarzy, ale pomimo to nie było na niej nawet cieniu niezadowolnienia. Chcąc jednak ułatwić mu sposobność uwolnienia się od Zofii, usiadła przy nich, ale Anna przyzwała ją natychmiast do siebie skinieniem, z gdy zbliżywszy się do niej zapytała czego od niej żąda, nie odebrała na to żadnej odpowiedzi.

Janina oddaliła się z salonu, skoro tylko Ida tam weszła, chcąc tym sposobem okazać że goście nie do niej przybywający, nie obchodzą jej wcale.

— Przyjechałyście w *poney-chaisse*? rzekła Ida, usiłując mówić spokojnie.

— Tak, odpowiedziała Anna, przyglądając się swym rękawiczkom; ale ten poney jest tak gorący, że zaledwie mogłam go utrzymać.

— Zapewnie już was goście opuścili... pozostałyście same.

— Mówisz o Burnet'ach, rzekła obojętnie Anna; nie, są jeszcze. Zofia namawiała go usilnie aby tu z nią przyjechał, ale odmówił jej bez ceremonii. Wiadomo ci że biedak nie odznacza się zbytnią grzecznością... a że chciała być tu dziś koniecznie, ja musiałam ją przywieźć.

— Chciała tu dziś przyjechać koniecznie? rzekła Ida przejęta uczuciem wdzięczności za tak wielki dowód przyjaźni; jakże to grzecznie z jej strony!

— Tak, rzeczywiście, odpowiedziała Anna obojętnie, ale wiesz zapewnie, że w naszej rodzinie wszyscy posiadają kochające serca!

Mówiąc to, spojrzała na siostrę, a Ida poszła za jej przykładem. Zofia mówiła właśnie do pana Marlowe:

— Podobał mi się bardzo, a pewna jestem, że podobałby się także panu, gdybyś go poznał lepiej! Chciałam koniecznie aby przyjechał tu z nami, ale

mi odpowiedział że już złożył panu swoje uszanowanie, a nasz mały powozik bardzo niewygodny dla wysokiego mężczyzny, dla tego też nie namawiałam go dłużej. Równie on jak siostra, są prawdziwymi oryginałami, tylko, ma się rozumieć, każde w swoim rodzaju. Chciałabym aby ich pan poznał lepiej, gdyż jestem przekonana że podzielałbyś moje zdanie. Co do mnie, lubię ich oboje.

— Czy nie podziwiasz tak nagłej zmiany! zapytała Anna uśmiechając się złośliwie. Nie ma już mowy o szpitalach i uczonych ludziach!... Sądzę, dodała ciszej, że już domyśliłaś się zkąd teraz wiatr wieje.

— Zkąd teraz wiatr wieje? powtórzyła Ida; nie rozumiem cię doprawdy.

Panny Tarlton odjechały wkrótce potem, a Ida stojąc z wujem w ulicy wysadzanej wiązami, spogląda z westchnieniem za odjeżdżającemi.

— Dziękuję ci, drogi wuju, rzekła wspierając rękę na jego ramieniu. Dałeś dziś nowy dowód dobroci! Nie sądziłam abyś umiał tak dobrze udawać; ktoby cię nie znał równie dobrze jak ja, byłby przekonany że jesteś najszczęśliwszym w świecie i że bawisz się wybornie.

Pan Marlowe przyjął w milczeniu tę pochwałę, i nawet łatwo było dostrzedz że był nią więcej zmieszany jak zadowolniony.

— Nie jest to wcale rzeczą zabawną dla człowieka poważnego i w twoim już wieku słuchać czczej rozmowy kilku młodych dziewcząt.

Cóż się to stało, że po raz pierwszy w życiu zdaje się na nią trochę obrażony, i stara się, wprawdzie nieśmiało, wysunąć jej swą rękę.

— Słuchając cię Ido, odezwał się z niezadowolnieniem, możnaby sądzić że mam przynajmniej ośmdziesiąt lat.....

. . . .

Począwszy od tego dnia, Ida zaczęła nabierać coraz silniejszego przekonania że musi wyrzec się nawet tej słabej iskierki nadziei, którą pocieszała się dotąd. Szczęście sprzyjało jej wszakże pod innym względem; odziedziczyła znów znaczny majątek w domach, dobrach i akcyach po jakimś dalekim krewnym; ale cóż to dla niej znaczy? Wszakże teraz już jest pewną że straciła na zawsze jedyny skarb jaki pragnęła posiadać!

Panny Tarlton odwiedzały ją teraz bardzo często; możnaby nawet powiedzieć że przyjaźń Zofii wzrastała w miarę jak dni stawały się krótsze, a powietrze chłodniejsze; ale Burnet nie pokazał się już ani raz w Marlowe. Nie było na to rady; Ida czuła dobrze że nic już jej nie pozostaje, jak tylko walczyć mężnie z cierpieniami, które w oczach świata poniżają kobietę, z cierpieniami niewzajemnej miłości.

Że jednak wszyscy mniej więcej jesteśmy skłonni do odkładania na później ważnych postanowień Ida postanowiła nie rozpoczynać tej walki dopóki on będzie tak blizko niej, dopóki może jeszcze mieć nadzieję że go spotka choćby tylko gdzieś na drodze lub nad brzegiem rzeki.

Pewnego dnia przy śniadaniu, ulegając gorącemu życzeniu zobaczenia go jeszcze, choćby wbrew jego woli, oznajmiła chęć odwiedzenia Tarlton'ów, przyczem zarumieniła się tak jakby zamierzała popełnić coś złego, pomimo że wszystkim wydawało się to rzeczą bardzo naturalną.

— Rób jak chcesz, rzekła pogardliwie Janina, nie mnie to nie obchodzi. Skoro nie raczą zapytać o mnie gdy tu przyjeżdżają, ja także nie myślę jechać do nich. Nie mam zamiaru okazywać się grzeczną dla osób niezwracających na mnie żadnej uwagi, nawet w domu mojego ojca!

Ida nie miała ochoty rozpoczynać z nią sprzeczki, nie odpowiedziała więc ani słowa, i zapewnie jej zamiar nie przyszedłby do skutku, gdyby nie znalazła niespodziewanej pomocy.

— Zdaje mi się Ido, rzekł pan Marlowe, zasłaniając twarz jedną ręką, a w drugiej obracając widelec to w tę to w ową stronę, że będę mógł zapewnie... że prawdopodobnie... będę zmuszony pojechać za interesem... mniej więcej w tamtą stronę... jeżeli więc życzysz sobie, to... to cię tam podwiozę.

— O! dziękuję ci, drogi wuju! zawołała wesoło Ida, ucieszona tym niezwykłym dowodem jego samodzielności, i rzuciła na Janinę tryumfujące spojrzenie.

Ubrała się wcześniej niż było potrzeba, i oczekując na wuja przechadzała się niecierpliwie po tarasie. Ukazał się nakoniec, kładąc z pewną trudnością nowe rękawiczki.

— A! jakże pięknie jesteś ubrany! kochany wuju! zawołała, widząc że włożył na siebie zupełnie świeży garnitur, w miejsce już dobrze znoszonego, z którym, pomimo jej prośby, nie chciał się dotąd rozstać, — Możnaby sądzić że jedziesz do ślubu!

— Co ci też przychodzi do głowy! odpowiedział czerwieniąc się i wsadzając ją śpiesznie do faetonu.

W ciągu drogi mgła opadła i cała okolica ukazała im się jeszcze w pełnym blasku swej piękności. Pan Marlowe nie był nigdy bardzo czułym na wdzięki przyrody, dla tego też Ida znając jego obojętność pod tym względem, nie zwracała wcale jego uwagi na piękność jesiennego krajobrazu, który zresztą w tej chwili, nie wywierał i na niej zbyt silnego wrażenia. Siedzieli więc obok siebie milczący i zamyśleni, dopóki nie dojechali do bramy parku należącego do Tarlton'ów.

— Dziękuję ci mój wuju, rzekła, poruszając się jakby chciała wysiąść; nie potrzebujesz już dalej zbaczać dla mnie z drogi. Mogę pójść pieszo.

— Nie, zawiozę cię dalej, zawołał z żywością wjeżdżając do parku.

Serce Idy biło bardzo silnie z obawy aby nie doznała nowego zawodu, gdy jednak dowiedziała się że mistress Tarlton jest w domu, zwróciła się znów do pana Marlowe.

— Do widzenia, mój wuju, rzekła podając mu rękę. Nie potrzebujesz wstępować po mnie, mistress Tarlton mnie odeśle.

Kto wie czy w tych słowach nie mieściła się jakaś myśl ukryta?

Zadziwiła się bardzo widząc że pan Marlowe oddał lejce służącemu i zamierza wejść z nią razem, mówiąc że okazałby się bardzo niegrzecznym gdyby nie wstąpił choć na chwilę.

Powiedziano im że mistress Tarlton wraz z córkami znajduje się w ogrodzie, gdzie wszyscy bawią się w *lawn-tennis*; gdy się tam udali już z daleka słyszeli wesołe głosy, a przez gałęzie drzew migały im się jasne suknie panien, i białe flanelowe ubrania ich braci, przybyłych na wakacye.

Trudno byłoby przybyć do nich we właściwszej porze, gdyż jest to jedyna chwila w której całe towarzystwo zostaje z sobą w zgodzie. Pod drzewem stoi mały stolik, a przy nim kilka krzeseł. Kto zajmuje te krzesła? Ida zaledwie ośmiela się spojrzeć w tę stronę.

Grający w lawn-tennis wybiegają naprzeciwko nim z miłym uśmiechem na ustach; mistress Tarlton podnosi się wolno ze swego fotela. Inne krzesła są niezajęte, prócz jednego na którem siedzi jakaś pani w kapturku na głowie, i zasłonięta woalem z czarnej gazy. Jest to miss Burnet, używająca na swój sposób przyjemności wiejskich.

— Czy nie spotkałaś się z Janem, zapytała zaraz po przywitaniu. Posłałam go do Kirkby po homeopatyczne krople. Niech sobie mówią co chcą, ja wierzę i zawsze będę wierzyć w skuteczność homeopatyi... Co prawda, nie mam jeszcze kataru, ale zawsze lepiej leczyć się zawczasu, i wiem zresztą co zapowiada lekkie łechtanie w gardle.

— Nie spotkaliśmy go wcale, rzekła Ida, usiłując zwrócić uwagę miss Burnet na więcej zajmujący przedmiot, co jej się jednak nie udało.

— Nic nie uleczy tak prędko z podobnego drapania w gardle, jak krople homeopatyczne, powtórzyła raz jeszcze, a potem nie przemówiła już ani słowa.

Wkrótce potem Anna usiadła obok Idy i zaczęła czynić jej różne zwierzenia, w ciągu których odkrywała jej rozmaite sekreta familijne, nawet niebardzo korzystne, i zaledwie w pół godziny później Ida zdołała jej zadać pytanie, które przez cały ten czas nasuwało jej się na usta.

— Zapewnie doktor Burnet wyszedł już dawno skoro nie spotkaliśmy się z nim w drodze?

— To niedźwiedź! zawołała Anna wzruszając ramionami, prawdziwy niedźwiedź! Uciekł skoro was zobaczył.

— Bardzo to pochlebne dla nas! zawołała Ida z wymuszonym uśmiechem, chcąc tym sposobem ukryć swą boleść; ale może też nas nie poznał?

— Gdzietam! już zdaleka poznaliśmy wasze dereszowate konie, i mówiliśmy głośno że to wy jedziecie.

Ida nic już nie odpowiedziała.

— Nie pojmuję po co Zofia ściągnęła go do nas, odezwała się znów porywczo Anna. Sądzi że jej towarzystwo jest bardzo pożądane dla wszystkich, a tymczasem dzieje się zupełnie inaczej. Między nami mówiąc, mężczyzni wogóle nie zwracają wiele uwagi na Zofię, ale co do Burnet'a, to zdaje mi się że poprostu tęskni do swych lancetów.

— A więc czemuż do nich nie wraca? zapytała Ida, udając obojętność, pomimo że głos drżał jej lekko.

— Bo nie chce odjechać bez tej starej czarownicy, odpowiedziała Anna, wskazując wzrokiem miss Burnet; ona zaś nie chce nawet słuchać o wyjeździe, powiada że jej tu dobrze, i nie rozumie dla czego nie miałaby pozostać dłużej. Zdaje mi się jednak że Burnet nie myśli czekać na jej zezwolenie, bo zamówił już powóz i kazał służącej aby zapakowała pokryjomu wszystkie jej rzeczy. Pojadą zapewnie we wtorek, i dobrze zrobią!

— Tak, dobrze zrobią! powtórzyła machinalnie Ida.

Powtarzała to sobie jeszcze w myśli wracając do Marlowe, obok równie jak ona milczącego wuja. Dobrze zrobią! Wszakże nawet smutna pewność jest lepszą od niczem nieuzasadnionych nadziei!

XXVIII.

Kto wie jednak czy nie zobaczy go jeszcze. W wigilię wyjazdu Burnet'ów przypadała właśnie rocznica urodzin Zofii, która tak z tego powodu, jak chcąc uprzyjemnić gościom ostatni dzień ich pobytu, postanowiła urządzić spacer w liczniejszem towarzystwie.

Ponieważ ta rozrywka została ułożoną głównie dla nich, a siostra oświadczyła ze zwykłą sobie szorstkością, że nie myśli do niej należyć, to brat przynajmniej będzie zmuszony okazać się grzeczniejszym od niej. Tak przynajmniej zdawało się Idzie, i cieszyła się że przez kilka godzin będzie z nim razem.

— Nie rozumiem jaką to może sprawiać przyje-

mność Zofii, że przypomina wszystkim swoje lata, rzekła do niej Anna. Wiesz że ma dwadzieścia siedm lat i nie wydaje się młodą... Domyślam się tylko, że chcąc dobrze odegrać rolę w której teraz występuje, chciałaby okazać się starszą...

— O jakiej mówisz roli? zapytała Ida, nie rozumiem cię wcale.

Anna odeszła od niej śmiejąc się i oświadczając jej że jest bardzo niedomyślną i krótkowidzącą.

Rachowano na pogodę, ale w tej porze roku czas bywa zmienny, a piękne dni trwały tak długo że łatwiej można było spodziewać się słoty. Szczyt góry Ingleboro zakrywają chmury, na drogach tworzą się wyboje, a rzeki wzbierają. Nigdy dziecko, wybierające się na jakąś niezwykłą dla niego przechadzkę, nie mogłoby spoglądać niespokojniej na niebo i na barometr, jak obecnie Ida Latimer.

Wieczorem w wigilię dnia tak niecierpliwie oczekiwanego, szare chmury pokrywały niebo, a Ida zbyt niespokojna aby mogła pozostać w domu, błąkała się po przesiąkłych deszczem ulicach ogrodu, spoglądając z boleścią na pożółkłe gałęzie kwiatkow i słuchając smutnego świstu jesiennego wiatru.

— Śliczny czas będziecie mieli do spaceru, odezwała się Janina w czasie obiadu, śmiejąc się głośno. Czy słyszysz jaki deszcz pada? Nie martwi mnie to bynajmniej. Na przyszły rok miss Zofia nie będzie już miała ochoty wyprawiać sobie urodzin.

Ale Janina cieszyła się przedwcześnie, gdyż nazajutrz od samego rana czas był prześliczny; wiatr rozpędził chmury, a słońce osuszyło ziemię.

Ale niestety! cóż z tego przyjdzie Idzie że słońce świeci tak pięknie, skoro gwałtowny ból głowy nie dozwala jej wyjść z domu? Prawdopodobnie przyczynił się głównie do tego ciągły niepokój wpływający szkodliwie na jej nerwy, ale bądź co bądź, gdy całe towarzystwo używało przyjemnej przechadzki, miss Latimer leżała w łóżku cierpiąca i osłabiona. Był to jeden z tych bolów głowy, na które jedynem lekarstwem jest spoczynek i niczem niezamącona cisza, tak gwałtowny że nie mogła nawet myśléć o niczem, i tylko czuła, że odtąd cierpienia jej serca będą jeszcze cięższe nad te których doznaje obecnie. Zasnęła nakoniec już po południu, a gdy się przebudziła, ból głowy zmniejszył się znacznie, ale pozostało po nim osłabienie.

Wstała, odsunęła firanki, otworzyła okiennice, i zobaczyła że czas zmienił się zupełnie ku wieczorowi i że deszcz ulewny już dość długo musiał padać. Ubrała się spiesznie, chcąc zejść do salonu, z którego można było widzieć drogę prowadzącą do Marlowe. Zastała tam Janinę, która nie raczyła zaszczycić swą obecnością spaceru, w którego urządzeniu nie miała żadnego udziału. Obecnie stała przy oknie, i przyłożywszy twarz do szyby patrzyła na drogę.

— Zapewnie już są niedaleko ztąd, rzekła niespokojnie miss Latimer.

— Tak się przynajmniej spodziewam, odpowiedziała Janina. Doprawdy obawiam się o mego ojca; możnaby sądzić że po to urządziły ten spacer aby go gdzie utopić, dodała z gniewem. Żałuję bardzo że dozwoliłam mu pojechać z nimi.

— Wątpię aby próbowali przejechać przez bród, byłoby to prawdziwe szaleństwo! Luna wezbrała znacznie już od kilku dni.

— Jeźli spróbowali, odpowiedziała ostrym tonem Janina, to z pewnością woda uniosła wszystkich!

Doszedłszy do tak pocieszającego wniosku, umilkła, i obie przysłuchiwały się niespokojnie przeszło pół godziny, a nakoniec usłyszały z prawdziwą radością turkot zbliżającego się powozu. Wybiegły na ganek nie zważając na deszcz rzęsisty i stanęły tam właśnie, gdy zajechał *poney-chaisse* Tarlton'ów, z którego wysiadł pan Marlowe z młodzieńczą prawie żywością, aby podać rękę towarzyszącej mu Zofii, otulonej waterproofem z kapturkiem, z którego woda spadała jej na twarz, przemokłej do nitki, a pomimo to bardzo wesołej, prawie promieniejącej radością.

Prawda że deszcz zaczął padać bardzo nie w porę, ale dzień był rozkoszny i pozostawi po sobie niezatarte wspomnienie... Tak, wrócili przez most w Kirby... A reszta towarzystwa?... O! zapewnie wkrótce przybędzie.

— Pomimo to, rzekła Janina, zarzucając ręce na szyję ojca i spoglądając wyzywająco na Zofię, byłam o ciebie bardzo niespokojną, drogi ojczulku, i nie puszczę cię już nigdy na podobny spacer.

— Dobrze, dobrze, Janino, odpowiedział trochę zmieszany pan Marlowe, a Zofia uśmiechnęła się złośliwie.

Zdejmowali jeszcze w sieni okrycia, kiedy przyjechała reszta towarzystwa: Anna, Emilija i dwaj młodzi Tarlton'owie, równie zmoczeni, ale nie tak zadowolnieni ze spaceru jak pierwsza para.

Zbliżyli się wszyscy do ognia, i nie tak prędko spostrzegli że brakowało jeszcze kogoś. Ida wiedziała o tem od pierwszej zaraz chwili, ale nie śmiała zapytać.

— Cóż się stało z Burnet'em? zapytał pan Marlowe, spoglądając wkoło.

— Powiedział że nie obawia się deszczu, i że przyjedzie tu naszym *dog-cartem* odpowiedziała Anna, przysuwając się bliżej do ognia.

— Czy też kto go przestrzegł aby nie przejeżdżał przez bród? zapytał niespokojnie pan Marlowe.

— Sam zdrowy rozsądek przestrzeże go o tem że w takim czasie nie przejeżdża się przez bród, a zresztą i groom powiedział mu to zapewnie, rzekła znów Anna spokojnie.

Ktoś zwrócił uwagę że i groom niedawno przybył w te strony.

— Mam nadzieję że nie wystawił się na podobne niebezpieczeństwo, rzekł poważnie pan Marlowe, gdyż w przeciwnym razie byłby z pewnością zgubionym.

Wszyscy potwierdzili to dość obojętnie.

— Ale odezwał się po chwili już spokojnie, niepodobna nawet przypuszczać aby chciał przez bród przejeżdżać.

Wszyscy powtórzyli chórem: „Tak, niepodobna tego przypuszczać!" i poszli przebrać się do obiadu, co już było objęte programem uroczystości.

Wyobrażamy sobie zwykle że „wszystko będzie dobrze", skoro idzie o kogoś zupełnie nam obojętnego.

Zaledwie wyszli, Ida wysunęła się cicho przed dom, i stojąc na schodach, przysłuchiwała się z przerażeniem głośnemu szumowi rzeki, płynącej w lecie tak cicho i spokojnie. Słowa wypowiedziane przy niej przed chwilą, napełniały ją niewysłowionym przestrachem. Kto wie czy nie unosi go teraz ta bystra i wezbrana rzeka?

Tak upłynęło pół godziny. Wszyscy zasiedli już do obiadu nadmieniając spokojnie że byłoby im przyjemnie, gdyby Burnet znajdował się między nimi, ale że prawdopodobnie nie stało mu się nic złego.

Ida wymawiając się bólem głowy, nie usiadła do obiadu. Stała ciągle przed domem na schodach, i w końcu obawy jej wzrosły do tego stopnia, że nie mogła już czekać bezczynnie, i nie zwracając na to uwagi, jak będą sobie tłomaczyć jej nieobecność, jeźli ją spostrzegą, włożyła na siebie jakiś *waterproofs* wiszący w sieni, i stojące tam także czyjeś kalosze zbyt na nią obszerne, przebiegła spiesznie taras, i poszła dalej ulicą prowadzącą do wjazdowej bramy.

Burza już przeszła, chmury zaczynały się rozchodzić, a okrągła tarcza księżyca, to się ukazywała, to nikła za chmurami.

XXIX.

W ogrodzie ziemia przemokła, a z drzew spływały wielkie krople wody, pomimo to Ida wyszła na drogę, na której stały wielkie kałuże połyskujące przy świetle księżęca. Tam zatrzymała się i zaczęła słuchać; tylko groźny szum rzeki dochodzi do jej słuchu, nie może odróżnić nic podobnego do turkotu powozu. Prawie bezwiednie zaczęła iść ku rzeczce zamienionej w bystry potok; przeszła przez łąkę na której legły jej nogi, a nakoniec idąc koło płotu ogradzającego pole, doszła do brodu czyli raczej do miejsca, w którem przedtem był bród.

Wiedziona nieprzepartą chęcią przekonania się naocznie o stanie rzeki, stanęła nad jej brzegiem i zobaczyła że jej bieg zwykle spokojny, stał się obecnie tak gwałtownym, że ją to zarazem przeraziło i uspokoiło. Tylko ktoś szalony mógłby chcieć przejechać rzekę w bród. Gdyby nie była tak straszną, stałaby się daleko niebezpieczniejszą.

Teraz już kiedy Ida uspokoiła się prawie zupełnie, zaczęła się wstydzić trochę swej wycieczki, i rozmyślać nad tem jak potrafi wrócić niepostrzeżenie. Błoto wydawało jej się teraz daleko trudniejszem do przebycia jak przed tem, doszła jednak do bramy, i już miała otworzyć furtkę, gdy usłyszała za sobą jakieś kroki, odwróciła się, i przy świetle księżyca ujrzała tego właśnie, o którego obawiała się tak bardzo.

— Więc to pan! zawołała z uniesieniem, zapominając o wszystkiem pod wpływem radości jaką jej sprawiło to spotkanie.

Usłyszawszy jej głos zadrżał, i patrzył na nią uważnie z pewnym rodzajem zadziwienia.

— Tak, to ja, odpowiedział, ale trudna mi w to uwierzyć że tu widzę panią.

Przymus malujący się w jego głosie przywrócił jej pamięć. Wtenczas dopiero spostrzegła że wiatr potargał jej włosy, błoto oblepiało obuwie, i poznała całą niewłaściwość swego postępowania.

— Byłam... byłam niespokojna... odpowiedziała jąkając się, obawiałam się jakiegoś nieszczęścia.

— Czy nie przyjechali dotąd? zapytał z żywością. Już dawno powinni tu być!

Każde jego słowo zwiększa jej zawstydzenie. Nie przypuszcza widocznie aby mogła być tak szaloną.

— Są już... wszyscy, odpowiedziała zaledwie dosłyszanym głosem, prócz...

— Prócz mnie? zapytał z pewnem wahaniem.

— Obawiałam się... aby pan... jako nieznający tej okolicy... nie chciał... nie próbował przejechać przez bród.

— Teraz? rzekł zadziwiony; trzebaby na to być szalonym!

Nie miała dość przytomności umysłu aby wytłomaczyć się jakoś inaczej, a nawet niepodobna jej było oderwać oczu od kałuży nad którą stała.

— Czy się nie mylę?—zapytał głosem tak wzruszonym że serce pięknej milionerki zaczęło bić bardzo prędko. — Czy to być może aby ta obawa o mnie wyprowadziła panią z domu w taki czas i o takiej porze?

— Nie chciałabym aby pan utonął, odpowiedziała pochylając głowę.

Nastąpiło dość długie milczenie, które Burnet usiłował naprożno przerwać kilka razy; nakoniec odezwał się głosem drżącym i niezgadzającym się wcale z zimną grzecznością słów jego:

— Jestem pani nieskończenie wdzięcznym... więcej niżeli to mogę wyrazić... ale pani myliła się sądząc że mi grozi jakieś niebezpieczeństwo.

— Widzę to obecnie.

— Ujechałem zaledwie ćwierć mili kiedy koń zgubił podkowę, odprowadziłem go więc do Kirkby i przyszłem tu pieszo.

— Nie ja sama tylko lękałam się o pana, rzekła chcąc usprawiedliwić choć w części swój niewłaściwy postępek. Wuj... wszyscy...

— Doprawdy? rzekł przerywając. Czy mam wnosić z tego że i oni mnie szukają?

— O! nie, odpowiedziała zmieszana, nie... zostawiłam ich przy obiedzie.

Po ustach Burnet'a przesunął się uśmiech więcej czuły jak żartobliwy.

— Pani się może zaziębić! rzekł zbliżając się do niej.

— Mam waterproof i kalosze, odpowiedziała, starając się wydobyć z kałuży nogę, której obuwie, ciężałe od błota, kolosalne przybrało rozmiary.

Choć usposobienie obojga nie było wesołe, jednak śmiejąc się doszli do domu. Dopiero doszedłszy do drzwi, Ida odważyła się zapytać:

— Więc rzeczywiście odjeżdżasz pan jutro?

— Tak, nareszcie! odrzekł ze swobodniejszem westchnieniem.

— Z mowy pana trzeba wnosić że czas wypoczynku nie bardzo przyjemnie panu przeszedł, dodała zmuszając się do uśmiechu.

— Tak jest rzeczywiście.

Wypowiedział to z takiem zniechęceniem, że zaledwie ośmieliła się dodać drżącym głosem:

— A jednak zdawało się że lubisz pan góry? Może przypomni pan sobie że przynajmniej w tem jednem zgadzaliśmy się z sobą?

— Czy ja lubiłem góry? zapytał rzucając smutne spojrzenie na krajobraz usrebrzony blaskiem księżyca. Jeźli tak, to upodobanie moje zmieniło się, bo obecnie zdaje mi się że ich nie nawidzę. O tak! nie nawidzę wszystkie te doliny, rzekę, góry, nie nawidzę wszystkiego dokoła—zbyt smutne miałem tu marzenia!

Smutne te słowa boleśnem echem odbiły się w sercu Idy; podniosła na niego oczy zdradzające głębokie wzruszenie mówiąc:

— Mnie się zdaje że są marzenia więcej warte jak rzeczywistość!

Zawahał się z odpowiedzią i chwilę popatrzył na nią; potem ujmując nagle jej małe zziębnięte ręce, wypowiedział prędko przyciszonym głosem, jak gdyby słowa jego mimowolnie wydzierały się z głębi serca:

— Wolę wyznać to pani w tej chwili. Bywają głosy popychające człowieka do czynów niezgodnych z honorem; głosy te przemawiają do mnie, a gdybym ich usłuchał, zasłużyłbym na hańbiący zarzut nikczemności, jaki uczyniła mi pani kiedyś. I oto dla czego uciekam tam gdzie mogę je zmusić do milczenia, a przynajmniej nie słyszeć bezustannie we dnie i w nocy.

A uśmiechając się smutnie, dodał rzewnym, prawie błagalnym głosem:

— Jestem pewny że pochwalisz pani moje postąpienie, jeźli, jak chcę wierzyć, masz dla mnie choć trochę życzliwości, pomimo niemiłych naszych dawniejszych sprzeczek.

I uścisnąwszy czule ręce jej, które trzymał dotąd, znikł w jednej z wązkich ścieżek park przerzynających. Ida kilka minut stała nieruchoma. Zrozumiała że ten który powiedział kiedyś „iż wolałby dać się obedrzeć ze skóry niżli ją poślubić”, nie zmienił dotąd zdania.

XXX.

Wszelka wątpliwość stała się niemożebną! teraz mogła oznaczyć najdokładniej godzinę, miejsce i widownię w której nadzieje jej zamarły i muszą być zagrzebane w falach zapomnienia.

Nazajutrz wstała blada i spokojna. Poranek był dżdżysty i posępny, ale cóż ją to mogło obchodzić? Czuła iż otacza ją uroczyste jakieś wrażenie, chroniące od wszelkich ciosów zewnętrznych—może się myliła jednak, bo wielkie boleści nie zawsze czynią nas nieczułemi na małe przykrości życia.

Śniadanie przeszło w milczeniu. Janina przybierała miny obrażonej godności osobistej, widząc że nie udało jej się przeszkodzić wczorajszej wycieczce, i że nie zważając na jej niezadowolnienie, wszyscy bawili się doskonale i wesoło.

Gdyby Ida mniej była zamyśloną, spostrzegłaby że wuj nie był w zwykłem usposobieniu; na jego zwykle pozbawionej wyrazu twarzy, maluje się pewne zakłopotanie; jé mniej jak zwykle, śmieje się nie w porę i odpowiada bez związku.

Gdy Ida miała już wyjść z pokoju, zatrzymał ją pytając nieco zmienionym głosem:

— Czy masz wolny czas, Ido?

— Mam, kochany wuju, wiesz przecie że niczem się nie zajmuję.

— Więc jeźli możesz poświęcić mi chwilkę czasu... rzekł gniotąc trzymany w ręku *Times*, chciałbym porozmawiać z tobą kilka minut... chciałbym... zasięgnąć twego zdania.

— *Mego* zdania, wujaszku, odpowiedziała z nieco złośliwą minką, zapewnie chciałeś powiedzieć: zdania Janiny.

— Oh! nie!.. nie!.. nie Janiny... nie! nie!

Mocno zadziwiona, przeszła z wujem do gabinetu, a gdy zamiast rozpocząć rozmowę, zaczął niespokojnie chodzić po pokoju tam i napowrot, przesuwać papiery i krzesła, usiadła w wielkim jego fotelu przed biórkiem, aby miał czas uspokoić się i zebrać myśli. Zaczął nareszcie mówić rzucając na nią ukradkowe spojrzenia.

— Nieprawdaż, Ido, że od jakiegoś czasu niebardzo przyjemne wiedziemy życie?

Nie wiedząc do czego zmierza ta mowa, skinęła tylko potwierdzająco głową.

— Janina jest bardzo dobra dziewczyna, nie mogę nic złego powiedzieć na nią, ale, dodał łagodnie, może w ostatnich czasach nie broniłem jej postępować zbyt samowolnie, i dla tego dla własnego jej dobra chciałbym...

— Oddać ją napowrót na pensyę! zawołała Ida wskazując z radości na krzesło z ożywieniem do jakiego nie sądziła się być zdolną smutnego tego poranku, ah! jak to dobrze.

I mówiąc to, zarzuciła ręce na krótką szyję stojącego przed nią wuja.

— Tak!..... to jest niby niezupełnie tak..... odrzekł odsuwając się nieco, jakby czując się niegodnym tak gorącego objawu przywiązania.

— A więc cóż? zapytała.

Ale otóż ne mógł się zdobyć odpowiedzieć na to właśnie pytanie. Podszedł do okna i odwróciwszy się plecami, wyszeptał niewyraźnie:

— Trudne to... strasznie trudne zadanie dla mężczyzny wychować kilka córek bez matki.

— *Bez matki!* powtórzyła.

Odgadła słowo zagadki! zrozumiała o co chodzi.

— Zamyśla wuj ożenić się powtórnie, rzekła urywanym głosem, i silny rumieniec na twarz jej wystąpił.

Nie zaprzeczył i nie patrząc na nią, odrzekł jakby usprawiedliwiając się:

— Ja... ja.. starałem się aby było dobrze... i... spodziewam się że nie gniewasz się na mnie!...

— Z kimże wuj chce się żenić? zapytała oschle.

— Nie zgadujesz? odpowiedział zaniepokojony spuszczając głowę. Sądziłem że powiedziała ci wszystko, wszak od dzieciństwa jesteście przyjaciółkami?

Z początku nie domyślała się, lecz ostatnie słowa objaśniły ją dostatecznie.

— A więc-to z Zofią Tarlton? rzekła przysuwając się do okna, aby go zmusić podnieść na nią oczy. Nie mogła wątpić widząc jak się zmieszał i zawstydził.

— Ja... ja... przypuszczam, rzekł zmuszając się do śmiechu.

Po chwili milczenia Ida zawołała:

— Ależ Zofia jest twoją chrzestną córką!

— Tak, niestety! ale na to nie ma rady.

— Jest dla wuja za młoda, rzekła oschle i zimno.

— Ma około trzydziestu lat, a wogóle mówią że wygląda starzej. Nie jest ani płocha ani roztrzepana i nigdy nie była piękną.

Pomimo wielkiego niezadowolnienia, Ida nie mogła powstrzymać się od złośliwego uśmiechu.

— Niezbyt świetnemi barwami maluje wuj panią swoich myśli, odrzekła.

Widząc jednak zawstydzenie i niepokój, jaki odbijał się w twarzy wuja, żal jej się go zrobiło i rzekła łagodnie:

— Źle przyjęłam zwierzenie twoje, kochany wuju, ale to jedynie z powodu zadziwienia jakie wywołało we mnie. Zdaje mi się że życie twoje upływało dość szczęśliwie, mam nadzieję że jeszcze szczęśliwszem się stanie, jeźli będziecie się kochać... Tych tylko żałować trzeba, dodała z uczuciem politowania, którego znaczenia pojąć nie był zdolny, kogo nikt nie kocha!...

Twarz pana Marlowe rozjaśniła się na te słowa życzliwe—przebył najtrudniejszą chwilę.

— A cóż będzie z Janiną? zapytała z wewnętrznem zadowolnieniem.

— Ah! otóż-to, rzekł z zakłopotaniem, kto jej to oznajmi?... przecież musi się ktoś tego podjąć!

— Naturalnie.

— Ja myślałem... myślałem że... że może... i błagalnie spojrzał na Idę—może ty będziesz tak dobra... cóżby ci to szkodziło...

— Najpiękniej dziękuję, kochany wuju, odrzekła z nieco szyderskim uśmiechem—ale to do mnie nie należy, nie chcę pozbawiać cię przyjemności zwiastowania jej tak pożądanej wiadomości.

Czoło jego spospępniało, rozpogodziło się jednak niebawem.

— Myślę że najlepiej będzie gdy *ona* jej to powie.

Od chwili w której trzymał do chrztu Zofię, mówił jej zawsze po imieniu, dziś nie mógł się na to zdobyć!

— Wszak masz słuszność—*ona* jej to powie najlepiej?

. . . .

(D. n.)



Pl. 477.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.